NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. **Kraków, 22 sierpnia 1908.** **Nr. 34.**

Napad na pociąg.

(Treść na str. 2).



Napad na pociąg.

(Do illustracyi tytułowej).

Bandytyzm w Rosyi i ziemiach polskich cesarstwa nie gaśnie. Rzadziej wprawdzie, niż w latach poprzednich, zdarzają się jednak napady bądź na pojedyncze osoby, bądź na kasy i pociągi. Wskutek jednak „przyzwyczajenia“ się ludności do napadów i oswojenia się z nimi, coraz częściej zdarza się, iż rabusie odchodzą bez łupu, a często nawet padają ofiarą swego niecnego zawodu.

Taki właśnie nieudały zamach bandycki wydarzył się przed paru dniami pod Nowo-Jelnią, na linii kolei poleskiej. Na pociąg, który przybył do stacyi Nowa-Jelnia, napadł oddział bandytów, uzbrojonych w brauningi. Liczyli oni na to, że uda się im opanować kasę pociągu, zawierającą stale wielką sumę pieniędzy w gotówce lub papierach wartościowych.

Część napastników wskoczyła na maszynę, a reszta rzuciła się na tzw. bagażowego, żądając klucza od kasy. Klucza jednak nie wydostali, gdyż posiada go tylko naczelnik stacyi. Bandyci więc ujęli naczelnika, grożąc mu zabiciem z brauninga. Ponieważ jednak już poprzednio celem wywołania paniki i steroryzowania personalu kolejowego dali szereg strzałów, zabrakło im nabojów a naczelnik wyszedł cało z afery, ratując nietylko życie ale i pieniądze oraz papiery.

Bandyci nie chcieli atoli dać za wygraną i próbowali rozbić wagon z kasą za pomocą bomby. I tu jednak nie dopisało im szczęście, gdyż w chwili gdy herszt bandy zamierzał zapalić lont, bomba wybuchła, kładąc bandytę trupem na miejscu. Wypadek ten w zupełności zbił z tropu rabusiów, którzy wówczas zbiegli ze stacyi i dwoma brykami uciekli w stronę Zdzięcioła. — Rycina tytułowa w dzisiejszym numerze przedstawia scenę tuż przed wybuchem bomby, gdy część bandytów usiłuje zmusić naczelnika stacyi do wydania klucza, a część pracuje nad przygotowaniem bomby.



Zlot Sokołów w Oświęcimiu: Pochód Sokolstwa na mszę polową.

Zlot Sokołów w Oświęcimiu.

Sokolstwo polskie z pod zaboru pruskiego, nie mogąc odbyć wspólnego zlotu w granicach imperyum Wilusiowego, musiało szukać gościny na terytoryum galicyjskiem, spodziewając się pewnie, że bracia galicyjscy nie odmówią im serdecznego przyjęcia, na jakie sobie zasłużyli, dzięki ciągłym prześladowaniom i uciskowi ze strony Prusaków. Tak się jednak nie stało! Zlot odbył się wprawdzie, ale nie widzieliśmy wcale w Oświęcimiu tej serdeczności, tego podniosłego nastroju, z jakim galicyjscy Polacy powinni byli podjąć swych braci z za pruskiego kordonu.

W dniu 16 sierpnia b. r. zjechali do Oświęcimia Sokoli wielkopolscy i śląscy, powitani na dworcu kolejowym przez miejscowy komitet, poczem przy dźwiękach muzyki wychowańców zakładu OO. Salezyanów udali się do miasta. O godzinie 10 rano odbyła się uroczysta msza polowa na dziedzińcu Salezyańskim, po której wygłosił podniosłe, patryotyczne kazanie przeor OO. Dominikanów z Krakowa. Dziedziniec klasztorny przepełniony był gośćmi z Prus, którzy przybyli z rodzinami, oraz tłumami pobożnych. Popołudniu odbył się uroczysty pochód Sokolstwa na Rynek, gdzie przed budynkiem magistratu złożono hołd reprezentacyi miejskiej i wygłoszono kilka podniosłych przemówień. Stamtąd udano się na boisko sokole, gdzie odbyły się ćwiczenia zlotowe, które wypadły wcale dobrze.

Wieczorem część gości zlotowych powróciła do domów, część zaś udała się do Krakowa, celem zwiedzenia pamiątek historycznych, stąd zaś do Wieliczki.

Miasto Oświęcim przybrało na przywitanie gości odświętną szatę, z wielu domów powiewały flagi o barwach narodowych; dworzec kolejowy jednak nie był wcale udekorowany, choć byłoby to zrobiło bardzo dodatnie na przyjezdnych wrażenie.

Uczestnicy zlotu, których zebrało się kilkuset, przybyli ze sztandarami swych gniazd, a sztandarów tych naliczyliśmy w pochodzie przeszło dziesięć. Bardzo pięknie wyglądała w pochodzie gru-



Zlot Sokołów w Oświęcimiu: Kazanie po mszy polowej na podwórzu klasztoru OO. Salezyanów. Aparatem redakc. W. Lis.

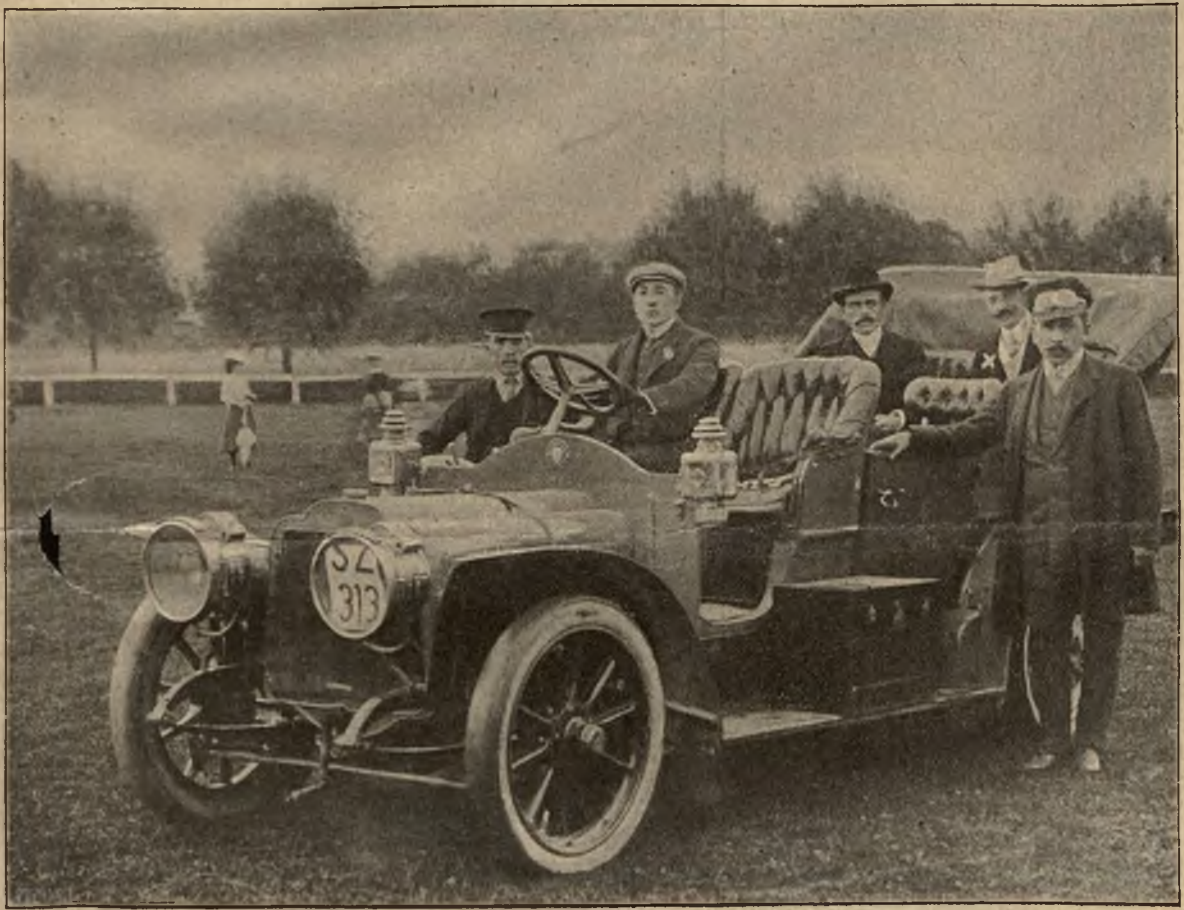
pa pań wielkopolskich. Nasze galicyjskie Sokolstwo nie występowało w uroczystych strojach sokolskich, aby nie drażnić tem Prusaków, którzy potem z pewnością nie omieszkaliby tego odbić na skórze naszych zakordonowych braci, uważając zjazd za manifestacyę polityczną, skierowaną przeciw sobie.

W każdym razie przyznać trzeba, że udział galicyjskiego Sokolstwa w zjeździe oświęcimskim był bardzo słaby; wpłynęło na to zdaje się równoczesne otwarcie Sokolni w Nowym Targu i uroczystość sokola czeska w Prościejowie.

Podajemy Czytelnikom zdjęcia ze zjazdu, przedstawiające pochód Sokolstwa do kościoła i podwórze kościelne w czasie kazania. wygłoszonego przez przeora OO. Dominikanów z Krakowa po uroczystej mszy polowej.

Wycieczka automobilowa.

Od wielu tygodni zapowiadana wielka wycieczka automobilowa na przestrzeni Lwów, Rymanów, Szmeks, Zakopane, Kraków, zorganizowana przez gal. klub automobilistów i kraj. związek turystyczny, odbyła się w ciągu czteru dni od piątku 14 bm. do poniedziałku 17 bm. Wskutek fatalnej pogody i popsucia się dróg galicyjskich, wycieczka odbyć się musiała w skromniejszych co



Wycieczka automobilowa: Automobil warszawski p. Lewentala. W wozie dr. Nennel (X), kierownik krakowskiej filii biura korespondencyjnego. Fot. M. Münz, Lwów.

do ilości uczestników rozmiarach, niż się początkowo spodziewano, gdyż wielu zgłoszonych automobilistów w ostatniej chwili się cofnęło.

Ze Lwowa ruszyło w drogę ośm wozów, między tymi dwa pozagalicyjskie, a to p. St. Lewentala z Warszawy i Brady'ego z Pesztu. Prowadził wycieczkę prezes klubu automobilistów, Dominik hr. Potocki.

Droga prowadziła na Przemyśl i Dynów do Rymanowa, gdzie urządzono pierwszy postój. Tam też przyłączyły się dalsze trzy samochody, a po przyjęciu u właściciela Rymanowa, hr. Jana Potockiego, ruszono w dalszą drogę ku Szmeksowi.

Zarówno w drodze do Rymanowa, jak i dalej do Szmeksu obyło się bez większego wypadku, do czego przyczyniły się w znacznej mierze zarządzenia władz, dzięki czemu ludność była uprzedzoną o gromadnym przejeździe samochodów. Nadto cykliści kilku gniazd Sokolich, oraz automobiliści miejscowi, utrzymywali porządek po drogach.

Do Szmeksu przybyła wycieczka w sobotę popołudniu. Już w Barlanliget powitał gości wiceżupan Newgrady, w Szmeksie zaś prezes węgierskiego klubu automobilistów hr. Andrassy. Także w Szmeksie odbyło się na cześć uczestników wycieczki uroczyste przyjęcie.

Po odpoczynku ruszono w dalszą drogę do Zakopanego. Wjazd odbył się wśród ulewnego deszczu, mimo to tłumy gości przypatrywały się inte-



Wycieczka automobilowa: Komitet wycieczki; 1. p. Kempner; 2. prezes hr. Dominik Potocki; 3. sekretarz Rosner; 4. hr. Starzeński, 5. p. Raus; 6. p. Brandys.

resującej wycieczce. Wieczorem w niedzielę odbył się w hotelu „Stamary“ obiad dany przez hr. Dominika Potockiego.

Do Krakowa wyruszyła wycieczka w poniedziałek koło 2 popołudniu, skutkiem czego też koniec wycieczki, zapowiedziany pierwotnie na godzinę 3 popołudniu, znacznie się opóźnił. Zamiast o 3, stanęły wozy w Rynku krakowskim przed pałacem Spiskim — punktualnie o 6 wieczór.

To też cierpliwość tłumów publiczności, które zebrały się przy drodze od Podgórza ku Rynkowi, wystawiona była na ciężką próbę, tem więcej, że przez cały niemal czas padał deszcz.

Pojawienie się w Rynku ośmiu wozów, jakie szczęśliwie całą drogę odbyły, powitała publiczność oklaskami i okrzykami. Z pod pałacu Spiskiego udali się goście do hotelów, wieczór zaś odbył się wspólny obiad.

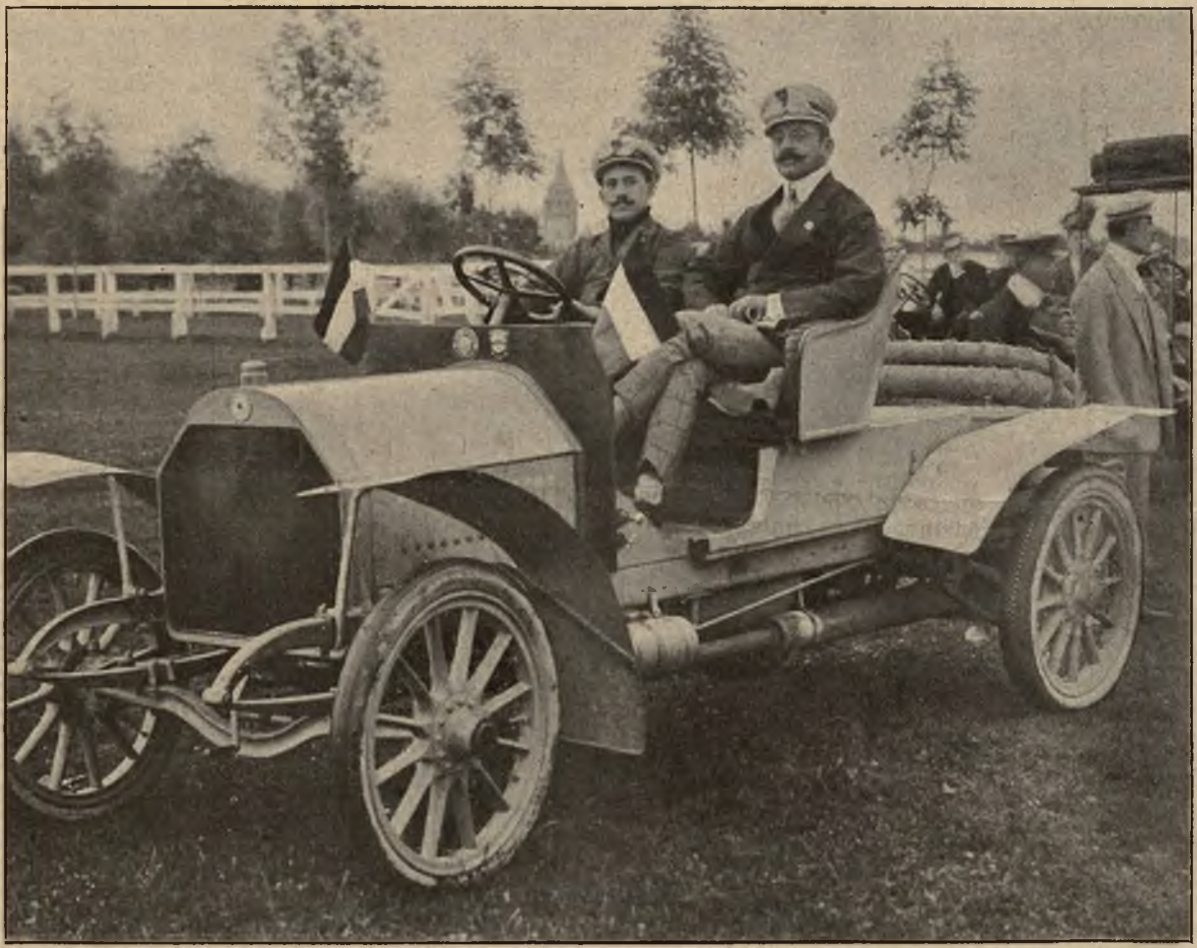
Wedle informacyi, udzielonych przez uczestników wycieczki, rezultaty, jakie osiągnięto, są zupełnie zadowalające. Doświadczenie, drogą tą zdobyte, przyczyni się niewątpliwie do podniesienia sportu automobilowego w Galicyi.

Zgon włoskiego męża stanu.

W piątek dnia 7 sierpnia br. zmarł w Rzymie margrabia Antoni Rudini, na dwa zawody prezes



Wycieczka automobilowa: Automobil hr. Dominika Potockiego, prezesa klubu. Fot. M. Münz, Lwów.



Wycieczka automobilowa: Automobil węgierski p. Bardy'ego z Budapesztu. Fot. M. Münz, Lwów.

włoskiego gabinetu i głośny parlamentarzysta. Rudini pochodził ze starej sycylijskiej rodziny, a urodził się w r. 1839 w Palermo.

W r. 1866 został burmistrzem swego rodzinnego miasta, w którem niespełna w kilka miesięcy po objęciu przezeń rządów wybuchły zamieszki, zmierzające do oderwania wyspy od Włoch. Burmistrz stanął na czele gwardyi narodowej i silną ręką stłumił ruch, poczem zostawszy prefektem uspokoił całą wyspę.

To zwróciło nań uwagę sfer rządzących i już w r. 1869 widzimy Rudiniego ministrem w gabinecie Henabrei. Zostawszy posłem do parlamentu, wystąpił z gabinetu i jako przywódca prawicy przyczynił się głównie do upadku Crispiego, po którym też w r. 1891 objął przewodnictwo gabinetu włoskiego.

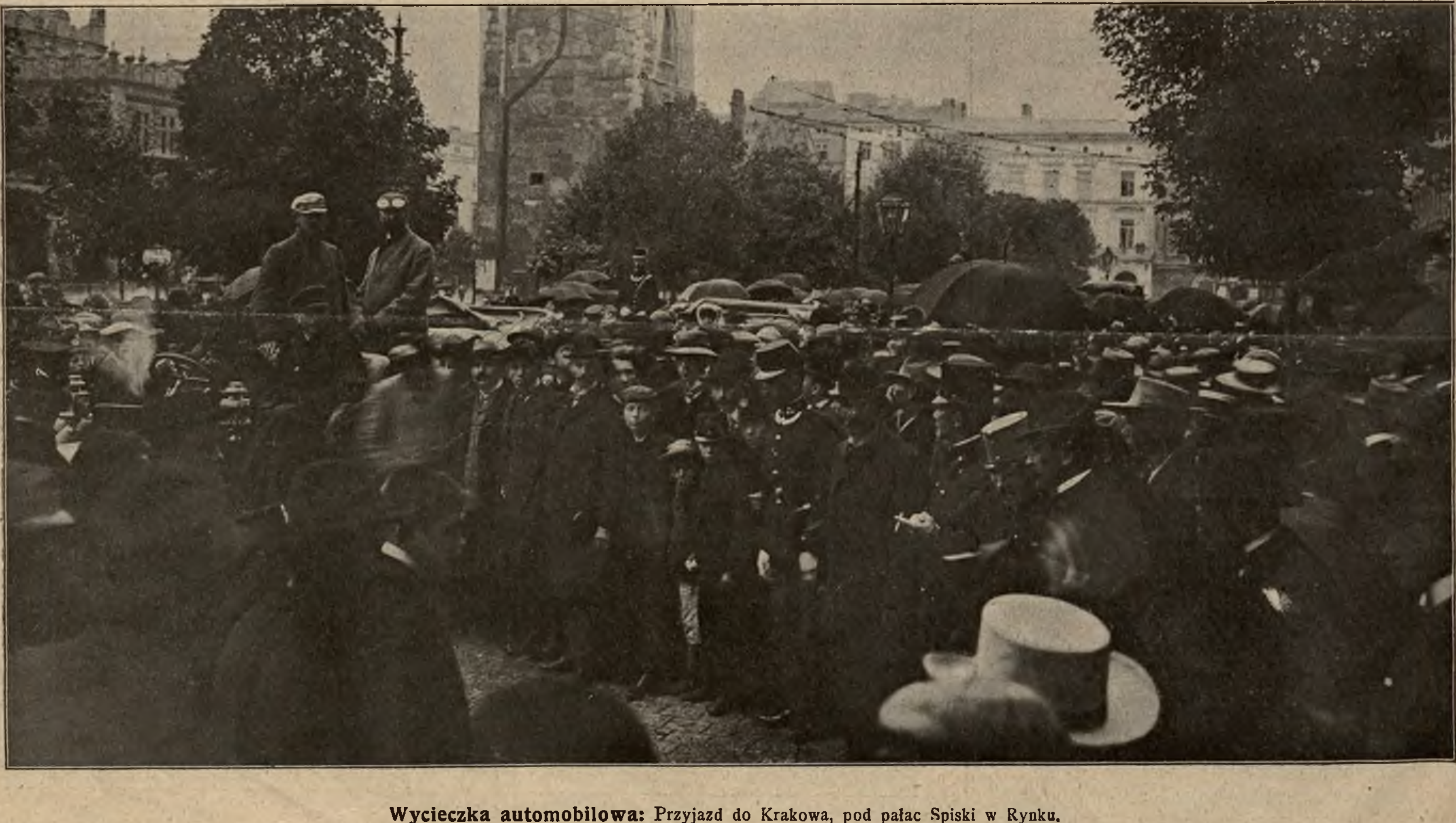
Na czasy jego ministerstwa przypada odnowienie trójprzymierza, oraz nawiązanie bliższych stosunków z Francyą. Po dwu latach skutkiem nieporozumień, wynikłych w łonie samego gabinetu, ustąpił Rudini i dalej jako poseł i przywódca prawicy parlamentarnej prowadził zaciętą opozycyjną walkę przeciw swym następcom: Giolitti'emu i Crispi'emu.

Gdy po sromotnej klęsce pod Aduą upadł gabinet Crispi'ego, król powierzył znów Rudini'emu misyę utworzenia nowego gabinetu. Rudini napotkał jednak tyle trudności wewnętrznych i zewnętrznych, że po trzykrotnem przekształceniu gabinetu musiał w czerwcu 1898 r. ustąpić skutkiem wybuchłych w kraju rozruchów głodowych. Od tego czasu przybladła gwiazda wielkiego męża stanu, znaczenie jego i wpływy skończyły się, a Rudini usunął się w zacisze domowe. Dopiero śmierć przypomniała go znowu Europie.

Podajemy w bieżącym numerze portret znakomitego męża stanu według ostatniego zdjęcia fotograficznego.



Wycieczka automobilowa: Start automobilów wycieczkowych we Lwowie. Fot. M. Münz, Lwów.



Wycieczka automobilowa: Przyjazd do Krakowa, pod pałac Spiski w Rynku.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

10

Położyła na ramionach dziewczęcia ciężkie, spracowane ręce i wpatrywała się z zachwytem w jej twarz bladą i smutną. Poczem nagle zwróciła się do syna i rzekła tonem solennym:

— Ona stokroć więcej warta od ciebie. Obyś przynajmniej stał się jej godnym!

Zofia bardzo życzliwie i z wielką delikatnością zajęła się instalacyą swojej przyszłej świekry, która radowała się wprawdzie niewymownie jej pieczołowitą opieką, lecz dowodziła, że nie należy rozpieszczać kogoś jak ona, nieprzyzwyczajonego do wygód wyrafinowanych i zbytków miejskich.

— U mnie, tam na południu — mówiła wieśniaczka — nie brak wszystkiego, czego ciało potrzebuje, nie psujemy się jednak nadmiarem starań, bo przecież człowiek nie dla samej rozkoszy ciała żyć powinien na tym tu Bożym świecie.

Ale Korf ze łzami w oczach dziękował Zofii:

— Jak ja się pani wypłacę za jej dobroć. Przyjęcie, jakie zgotowałaś mojej matce, wzruszyło mnie do głębi... Tak jestem rozczulony, tak serdecznie wdzięczny...

— Matka pańska wydaje mi się osobą bardzo dobrą — odparło dziewczę tonem lodowatym — więc proszę być pewnym, że zawsze znajdzie we mnie oddaną sobie i szczerze ją kochającą córkę...

W słowach jej dźwięczała dobroć i szlachetność, lecz w całem zachowaniu się z baronem pozostawała ciągle nieprzejednaną ofiarą, poświęcającą się dla rodziny, traktującą go grzecznie wprawdzie, lecz bez śladu jakiegokolwiekbądź serdeczniejszego uczucia.

Nadszedł nareszcie dzień na ślub wyznaczony.

Widok kościoła, przepełnionego licznie zgromadzoną arystokracyą, ucieszył Korfa. Na chwilę zapomniał nawet o bolesnej ranie, jaką obojętność narzeczonej sercu jego zadała.. Kędy spojrzał dostrzegał twarze mężczyzn i kobiet, należących do najwykwintniejszego i najwyższego świata, dotąd dlań zamkniętego, a który teraz dopiero przed nim się otworzy... Pycha rozdymała mu piersi... Przypuszczał, że zachowując się poprawnie, nieco sztywnie i spokojnie, ukrywa przed otaczającym go tłumem książąt i hrabiów uczucia i wrażenia nim wstrząsające. Tymczasem krasne wypieki na twarzy świadczyły aż nadto o jego głębokiem wzruszeniu.

Nagle w mglistej, oddalonej perspektywie wspomnień przesunęła się przed oczami jego duszy wizya przeszłości. Przypomniał sobie naprzód lata chłopięce, potem młodzieńcze. Widział się tam na jednem z wybrzeży morskich południowej Francyi krnąbrnym, dzikim, nieuległym i zuchwałym malcem, którego ojciec pomimo łez i próśb matki wypędza z domu. Potem w pamięci jego rysuje się obraz po obrazie, ciągle zmieniający się, ciągle inny i nowy. Oto moment, w którym zaciąga się jako chłopiec okrętowy do załogi na statku kupieckim. Następnie odbywa długie podróże, opływa świat cały. Na bliższym i dalekim Wschodzie pędzi życie odważnego awanturnika, prawie bandyty. Handluje przeróżnym towarem w Turcyi, Persyi, Japonii, Chinach i w Syberyi. Tam to gwiazda jego losów zaczyna jaśnieć promiennym blaskiem. Zyskuje tysiące i dziesiątki tysięcy, wyłowionych w rozmaitych mętnych przedsiębiorstwach. Inteligencyą i sprytem wprawia w podziw i zachwyt tuziemców. Adoptuje i przekazuje mu swoje nazwisko milionowy kupiec, prawnuk katorżnika i posieleńca. Wysoki lokalny dygnitarz za rzeczywiste usługi, oddane śnieżnemu krajowi na polu handlu i przemysłu, wyrabia dlań tytuł barona. Wszystko mu się uśmiecha, wszystko wiedzie z nad zwyczajnym sukcesem. Z krociami jedzie do Paryża. Tu je podwaja i potraja, a zarazem cywilizuje się, kształci, ogładza. Wchodzi w towarzystwo ludzi, zajmujących wybitne stanowiska. Wyrabia sobie liczne korzyść przynoszące stosunki. Sieć swych interesów rozciąga z Francyi do Petersburga, do Rosyi całej. Nareszcie otwiera biura w Warszawie. Poznaje Wielohradzkich i.. i... Szereg obrazów, przesuwających się przed oczami jego duszy, wydaje mu się już jednak daleki, niejasny, bardzo daleki, bardzo niejasny... tonący w mgłach, w chmurach, bo teraz dopiero zacznie żyć życiem, siebie godnem... Za chwilę połączy się węzłem małżeńskim z całą polską arystokracyą... i co ważniejsza: ze znaczną częścią francuskiej; teraz dopiero mieć będzie prawo uważać się za równego najdostojniejszym... Pycha rozsadza mu piersi!

Ukląkł obok Zofii i nachylił się, żeby choć słówko szepnąć do jej ucha. Lecz nie mógł, czy nie śmiał... Prawdopodobnie nie śmiał.

Zofia go nie widziała... ani rodzica, ani brata, ani ciotki, ani ołtarza, ani kapłana, nic, słowem nic z tego, co ją otaczało. Marzenie na lotnych skrzydłach wyobraźni wzniosło ją nad ziemię wyżej od sklepień świątyni, wyżej od szczytów najwynioślejszych gmachów, w błękitny świat eteru, w którym dusza jej spotykała się z duchem ukochanego. Błagała go, żeby jej przebaczył niedochowanie zaprzysiężonej wiary: „O luby!“ — myślała — „wszakże ty, który jesteś dobrocią, prawością i szlachetnością samą, pojmujesz, że ofiara moja była konieczną. Po twojej śmierci stałam się napowrót własnością rodziny, istotą, należącą znowu do ojca. Sprzedałam jednak tylko moje nazwisko. W przeklętem mem małżeństwie wierną ci pozostanę.. A ponieważ na tym padole płaczu ludzie nas nie złączyli, więc Bóg litościwy połączy nas na wieki w niebie“.

Słowa księdza powtarzane kilkakrotnie zbudziły ją jakby ze snu. Spojrzała na męża, który płomiennym wzrokiem objął jej postać całą. Zlękła go się... po raz pierwszy zlękła się bardzo. Więc powtarzała za kapłanem rotę małżeńskiej przysięgi wyraz po wyrazie, prawie głośno i prawie wyraźnie. A gdy ksiądz wkładał na jej palec obrączkę i stułą wiązał jej rękę z ręką Korfa, uczuła uścisk gorący. Nie odpowiedziała nań jednak choćby mimowolnym uściskiem, bo ręka jej była jakby zmarznięta, sztywna, zamieniona w bryłę lodu. On zaś, owładnąwszy nareszcie sobą, szepnął jej teraz do ucha:

— Kocham cię tak, jak żadna kobieta nie była nigdy kochaną!

Ona udała, że nie słyszy, a może i nie słyszała istotnie. Z nawpół przymkniętemi powiekami pogrążyła się powtórnie w bezdenną otchłań marzeń i zaziemskich kontemplacyj.

Ciotka — nieruchomością i milczeniem siostrzenicy rozdrażniona — podniosła ją z klęczek niemal przemocą i poprowadziła do zakrystyi, w której zgromadzili się dalecy krewni, powinowaci i znajomi. Szła zadumana, nieprzytomna, nie widząc nic i nikogo.

— Zosiu! wszyscy na ciebie patrzą — szepnął do niej ojciec tonem wyrzutu.

Zrozumiała nareszcie o co jej bliskim chodzi, więc wyprostowała się i dążyła powoli, ale śmiało i spokojnie ku stołowi, na którym świadkowie podpisywali akt tylko co zawartego ślubu.

Ręką pewną podpisała bez wahania podsunięty jej papier.

Poczem połykając łzy, które cisnęły się do oczu, oparła się o stół i ułożyła wargi do ceremonialnego uśmiechu, jaki uważała za konieczny wobec komedyi, dla niej jednej tylko tragicznej.

Rozpoczęła się defilada winszujących.

Powinowaci, krewni i znajomi składali życzenia, ujęte w najpospolitszą formułkę najbanalniejszego frazesu. Damy — prawie jej nieznane — przeciskały się przez tłum z trudem, żeby ją ucałować, bo zwyczaj każe całować pannę młodą po odejściu od ołtarza. Słyszała słodki, niemal śpiewny głos męża, z szczerem wzruszeniem dziękującego wszystkim za życzenia.

Nagle wśród uścisków obojętnych uczuła uścisk gorący i gorączkowy. Czy przerwane marzenie powraca?... Wszakże to uścisk ukochanego... Czy podobna?... Czyżby Zygmunt w rzeczy samej?... Może złudzenie wzroku, może widmo!...

Zygmunt blady, ledwie trzymający się na nogach stał przed nią. Chyba żywy, bo mówi głosem drżącym, w którym tętni żal głęboki i niezmierny smutek.

— Życzę pani z głębi serca... żebyś była szczęśliwą!

XI.

Nie do powetowania.

Był to istotnie Zygmunt.

Jakim sposobem znalazł się w kościele? Jak zdołał dostać się aż tutaj z Pragi pomimo zupełnego braku sił i wielkiego osłabienia?... Sam nie wiedział. Przypomniał sobie tylko, że babka wyczytała w *Kuryerze* zawiadomienie o małżeństwie hrabianki Wielohradzkiej z baronem Korfem... że posłyszana wiadomość zamieniła się w jego wyobraźni w jakąś potworną i groźną zmorę, która siadła mu na piersi i ubezwładniła do szczętu, że w tem ubezwładnieniu, któremu uległ nagle, myślał wciąż, iż nie zdąży przybyć na czas do kościoła, aby przeszkodzić ohydnemu związkowi... że następnie pozbawiony tchu, przygnieciony jakimś ogromnym ciężarem, łamiącym ciało, a umysłowi odbierającym wszelką władzę, padł na jedną z ławek kościelnych, ustawionych przy głównych drzwiach świątyni, że wreszcie niezdolny był słowa przemówić, ani poruszyć się z miejsca, gdy Zofia oparta na ramionach drużbów, przechodziła wzdłuż nawy do wielkiego ołtarza, gdy przed nim uklękła, gdy wymawiała sakramentalną przysięgę. Po przysiędze zerwał się z ławki, lecz silne ręce Protazego przygwoździły go znowu do niej.

Cisza chwilowa, ogólne milczenie, nawet szmeru żadnego nie słychać. Ślubowanie dokonane... małżeństwo zawarte. Raptem budzi się ruch powszechny i głuchy rozhowor wpośród zgromadzonych. Panna młoda, pan młody, krewni, powinowaci i znajomi przechodzą do zakrystyi; za nimi tłum, tłoczący się w ciasnych i małych drzwiach. On nie zastanawiał się, nie zadał sobie nawet pytania, co czynić wypada. Automatycznie posunął za tłumem i zmieszał się z nim wkrótce. Zgnieciony, zduszony, nieprzytomny stanął przed Zofią. Słabym głosem — w którym dźwięczały boleśnie: żal, smutek i oburzenie — szepnął, patrząc na nią:

— Życzę pani z głębi serca, żebyś była szczęśliwa.

Uczuł nagle zawrót głowy i zachwiał się. Oczy jego, już przymykające się, widziały jednak Zofię bladą, zesztywniałą, pozbawioną zmysłów, padającą bez krzyku na posadzkę marmurową. Niejasno zdawał sobie sprawę, że wytworzyło się stąd chaotyczne zamieszanie, że wokoło niego krzyżowały się głosy zdziwione, bo właśnie wtedy silne ramiona podnosiły go i unosiły z kościoła... Po chwili owładnęło nim uczucie jakiegoś niepojętego, błogiego, sennego niepokoju, z którego zbudził usypiający go wietrzyk, muskający mu twarz chłodnym powiewem. Oprzytomniał w dwukonnej dorożce, do której go wniósł Protazy, siedzący teraz przy nim i trzymający ukochanego panicza w objęciach.

— Na Pragę! — zawołał stary sługa, zwróciwszy do woźnicy.

— Nie, nie! — krzyknął Zygmunt. — Chcę tu pozostać i widzieć wszystko do końca. Potem rzekł do dorożkarza: — Proszę budę spuścić i stanąć tam... z boku..

A gdy stangret uczynił zadość jego życzeniu, zasunął się w głąb powozu i pytał Protazego drżącym głosem:

— Co ja zrobiłem? Co się stało?

— Nie wiem, proszę księcia pana — mruczał eks-żołnierz zły i nadąsany. Zdaje mi się, że zanim zemdlałeś, przemówiłeś słów parę do panny młodej. Ona także zemdlała. Gdy wszyscy rzucili się do niej, żeby ją podnieść z ziemi i ocucić, ja chwyciłem mego panicza. Zdaje mi się, że nas nikt nie spostrzegł, że nawet nie zwrócono na mnie uwagi w ścisku... Co pewno nie jest źle, proszę księcia pana?... a może nawet i lepiej, nieprawdaż?

— Lepiej — odparł Zygmunt — stokroć lepiej!... Dobrze zrobiłeś mój poczciwy Protazy.

Potem szeptał do siebie półgłosem:

— Na co ja wszedłem do zakrystyi, gdy już było po wszystkiem?... Należało zapanować nad bólem i rozpaczą... Nie mogłem, nie mogłem! Jakaś siła niewidzialna popychała mnie ku niej... Boże! czy ja jej słowami memi nie zabiłem?!

— Proszę panicza, omdlenie nie śmierć... Wyzdrowieje ona, wyzdrowieje!

I wzdychając głośno dodał jeszcze:

— Oho, człowiek wiele zniesć może!... więcej od wszelakiego, najsilniejszego zwierzęcia.

. . . .

W tej chwili Zofia, podtrzymywana przez męża i ciotkę, otwierała oczy w zakrystyi. Zaniesiono ją pod otwarte okno... chciano rozpiąć staniczek...

— Nie trzeba — rzekła panna młoda — dziękuję. Czuję się lepiej... Potrzebowałam odetchnąć świeżem powietrzem...

— Nic dziwnego! nic dziwnego! — zawołała pani Rutkowska gniewnie. — Dusiliśmy się wszyscy w pośród tłumu, który nas otoczył. „Co kraj to obyczaj“, mówi przysłowie, które mój mąż nieboszczyk często powtarzał, lecz przyznać trzeba, że taki ścisk w zakrystyi w czasie ślubu, to niedobry zwyczaj!

Uklękła przy synowej i ściskała jej obie rączki w swojej szorstkiej, dużej, grubej dłoni.

Zofia obiegła spojrzeniem całe zgromadzenie, a potem zamyśliła się głęboko. Patrzyła znowu oczami duszy w chmurami zasnutą głębię powrotnego marzenia. Bo to być nie może, żeby Zygmunt żywy stanął przed nią nagle... to raczej wyrzuty sumienia wywołały jego widmo z mroku ścierających się w jej sercu sprzecznych marzeń. Wszakże i teraz go widzi, chociaż jest pewną, że tylko rodzina ją otacza... Więc jakby zwrotkę jakiejś tęsknej piosenki, powtarzała w myśli:

— O luby! bądź spokojny, wierną ci pozostanę.

Zygmunt nie żyje... żyć nie może! A gdyby nawet żył, onby nie przyszedł na jej ślub do kościoła. Hallucynacya... Hallucynacya! Nikt przecie go nie widział... nikt o nim nie wspomina.

W chwili, gdy Zygmunt się ukazał, Wielohradzki przedstawiał zięcia ks. Ostrogskiej, a Korf, kornie przed nią pochylony, promieniał zadowoleniem i radością. Karol z przeciwnej strony zakrystyi prowadził wesołą gawędę z kilku klubowcami. A ciotka Dulska rozpływała się w morzu rozkoszy, słuchając komplementów, jakie jej prawił stary fircyk z przedpowstaniowych czasów. Zygmunt niespostrzeżony przesunął się wówczas jak cień. Dopiero odgłos ciała Zofii, upadającego na posadzkę, zwrócił nagle na siebie uwagę wszystkich. Rzucono się ją ratować. Protazy mógł więc niewidziany unieść swego panicza i wyśliznąć się z zakrystyi z łatwością, zwłaszcza, że większość obojętnych widzów wracała już pod sklepienia nawy kościelnej, skarżąc się na nieporządek, ścisk, „istną łaźnię, jaka tam panuje...“ opowiadając sobie wzajemnie, że panna młoda nagle zaniemogła, bo miała zanadto ciasno zasznurowany gorset... bo ktoś z zaproszonych nadepnął jej na nogę... bo może rozmiłowana w kim innym, myślała o jakimś ładnym lecz ubogim kuzynku, którego poślubić jej nie pozwolono, bo to w arystokracyi zwykle tak bywa: „panna kocha się w jednym, a wychodzi za drugiego“.

Tymczasem nowa baronowa zapanowała wysiłkiem woli nad wzruszeniem. Wiedziała, że komedya, którą dłużna była swojemu światu, jeszcze nie skończona. Chociaż z oddalenia, widziała jednak, że wszyscy, tak zwani przyjaciele, szykowali się tam w świątyni w dwa rzędy, że niektórzy — nie bacząc na świętość miejsca — włazili na ławki, śmiali się i paplali, oczekując na ostatni obraz widowiska.

Organista przysłał chłopca do Karola z zapytaniem: czy już może zagrać tryumfalnego marsza?...

— Chodźmy — rzekła Zofia — opierając swe ramię na ramieniu męża.

On na nią spojrzał wzrokiem pełnym czci i miłości. Nachylając się zaś do jej ucha, szepnął cicho:

— Prosiłem Boga, aby cię uczynił dla mnie łaskawszą.

— Ja zaś — odparła chłodno i poważnie — prosiłam Boga, żeby pana wyleczył z unieszczęśliwiającej go miłości.

Rutkowska przekonana głęboko, że zamieniają czułe wyrazy, patrzyła na nich z radosnem rozrzewnieniem.

— Ach, jacy oni szczęśliwi! jacy piękni! — rzekła do Wielohradzkiego, który zbliżył się właśnie w tej chwili, żeby jej podać rękę i wyprowadzić z kościoła.

Orszak ślubny przy akompaniamencie tryumfalnie brzmiących organów kroczył teraz wzdłuż nawy, zmierzając do głównego wyjścia. Oczy zgromadzonych zwracały się przeważnie na Zofię. Twarz jej była woskowo-bladą; szła powoli, z trudnością, potykając się nawet niekiedy. Może upadłaby, gdyby jej mąż nie podtrzymywał. W drzwiach kościoła zachwiała się tak, że on ją musiał unieść na rękach i wsadzić do karety. Nikt tego nie zauważył, wszyscy bowiem, zwłaszcza ci, którzy wyszli, podziwiali z zachwytem parę rasowych, prześlicznych arabów, które baron kupił wczoraj dla żony.

Konie te, unosząc obecnie ślubną karetę, wiozły ich do mieszkania Dulskiej. Korf nie śmiał do Zofii słowa przemówić. Z trwogą spoglądał na nią, patrzyła bowiem przed siebie bezmyślnie, szklanym wzrokiem, zatopiona znowu w głęboką zadumę. Chciał wziąć jej rękę i złożyć na niej pełen szacunku pocałunek, lecz i tego nie śmiał uczynić. On, zwykle tak zuchwały, wierzący w siłę męskiej przewagi, pytał się teraz siebie, czy przyjdzie nareszcie chwila, w której zdoła przełamać i podeptać zaporę, jaką kaprys dziewczęcia wzniósł między niemi. Wątpił... wątpił, bo przecież wyznawał dla niej cześć rzeczywistą... cześć wielką... bez granic!

W salonie ciotki, przepełnionym najwykwintniejszem towarzystwem, Zofia odzyskała władzę nad sobą. Starała się być dla wszystkich nadzwyczaj uprzejmą. Uśmiechała się nawet i niemal kokietowała niektórych gości, zajmujących wyższe stanowiska i posiadających w społeczeństwie uznanie i znaczenie.

Wielohradzki tymczasem prezentował im zięcia,



Zygmunt blady, ledwie trzymający się na nogach stał przed nią...

wypłacając się tym sposobem za olbrzymią przysługę, jaką mu oddał baron w ciągu upłynionego tygodnia, zaspakajając krociowe pretensye wszystkich wierzycieli teścia. Korf cieszył się szczerze, krewni bowiem i znajomi, którym go przedstawiono, zdawali się dlań najprzyjaźniej usposobieni. Traktowali go już jak równego sobie. Czuł, że świat niedawno jeszcze przed nim zamknięty, adoptuje go obecnie raz na zawsze. Więc wdzięcznym był za to, lecz nie hrabiemu, tylko jego córce, widział bowiem i skonstatował kilkakrotnie, że to ona głównie jedna mu druhów i adherentów, że to ona — czyniąc zadość danemu przyrzeczeniu zaraz po ślubie pracuje dla jego dobra i pomyślności.

Po sutem i świetnie podanem śniadaniu, które przeciągnęło się do godziny piątej, salony Dulskiej wypróżniły się niemal doszczętnie. Wielohradzki z Karolem odprowadzali paru bliższych krewnych do przedpokoju na parterze; ciotka zaś poszła wydawać służbie rozkazy. Pozostali: Zofia z mężem i Rutkowska, kryjąca się za firanką w framudze jednego z okien, jakby pragnęła, aby jej nie widziano i o niej zapomniano. Zmrok zalegał powoli obszerną komnatę. Zofia, znużona przyjęciem i zgnębiona wewnętrzną rozterką uczuć, usiadła przy gierydonie i na ramieniu oparła głowę.

Myślała: „Czy naprawdę jestem żoną tego obok stojącego mężczyzny, pożerającego mnie wzrokiem namiętnym? Czy w istocie religia i prawo w moc jego mnie oddają?...“ Zadrżała... Instynktownie, jakby szukając przed Korfem obrony, powstała z miejsca i usiadła na niskim taburecie, tuż przy swojej starej świekrze, spoglądającej na nią z radością i wdzięcznością.

— Powiedz mi szczerze, moja najmilsza — zapytała ją Rutkowska — czy nie zawadzałam wam tu dzisiaj?... czy nie byłam zbytecznym i natrętnym gościem?

— Skąd ta myśl powstała w pani głowie? Jak możesz nawet pytać o coś podobnego?

— Wyczytałam ją w oczach wszystkich. W twoich zaś najdroższa widzę tyle dobroci, że łatwoby mi przyszło uwierzyć w złudzenie... chociaż nie chciałabym łudzić się w tym względzie. Taka byłabym szczęśliwa, gdyby matka moich przyszłych wnuków mną nie pogardzała... Wszak prawda, że jestem bardzo śmieszną?

— Och pani!

— Nie zaprzeczaj mój aniele!.... Gdy bawię u siebie w Castillon, wpośród swoich dziewek i parobków folwarcznych, nikt mnie nie uważa za śmieszną, bo jestem wtedy na swojem miejscu... lecz w Warszawie, w waszym wielkim świecie, na swojem miejscu nie jestem wcale... o! nie!... To też dlatego nie myślę wam się narzucać zbyt długo. Przyrzecz mi tylko moja droga, że w razie, gdybyście zimę spędzali w Nizzy lub Mentonie, przyjedziesz do mnie, do mego ukochanego kraju... do mojej chaty, uwieszonej jak orle gniazdo u skały...

Zofia nie słyszała prawie, co mówi jej świekra, takim cierniem kolącym wdarły się do jej mózgu poprzednie — matki Korfa — wyrazy: „...moich przyszłych wnuków“.

Więc widocznie liczono na to w familijnem kole, że zostanie prawdziwą żoną swego męża. Więc jak o rzeczy naturalnej mówiono z nią o tem, że może mieć z nim dzieci?!... Krew uderzyła jej do głowy, w piersi tchu zabrakło. Podniosła się z taburetu w chwili właśnie, gdy baron zbliżał się do nich.

— Niech pani z łaski swojej przyrzecze mamie, że kiedy niekiedy odwiedzać ją będziemy razem... jeśli długa droga pani nie przestraszy?

— Nie... nie przestraszy — szepnęła Zofia niewyraźnie.

— Ręczę pani, że nie będziesz narażoną na niewygody, przywiązane do pobytu na wsi w południowej Francyi — rzekł Korf uśmiechając się dobrodusznie. — Mama wprawdzie pod żadnym pozorem nie chciała wynieść się z pod rodzinnego dachu, lecz ja kazałem wybudować wcale ładną willę u stóp skały, na szczycie której wznosi się murowany bastyon forteczny mojej matki... Okolica wprawdzie jest trochę dzika, lecz sądzę, że się pani spodoba; zwłaszcza, gdy uczujesz się nieco znużoną bujnem życiem zimowem Warszawy albo Paryża.

— Tak panie, tak. Dziękuję... dziękuję bardzo...

Mówiła głosem bezdźwięcznym i głuchym, przerażona przyszłością, wiążącą ją aż do zgonu z tym tu człowiekiem... Przejmowała ją niezwalczona obawa, że może aż nazbyt często będzie musiała z nim przebywać w dali od ludzi, w zupełnej samotności... Przeczuwała, że mąż do Prowancyi zawiezie ją niezawodnie, zwłaszcza, gdy się przekona, że pokonać jej tu nie zdoła... To też wejście do salonu Dulskiej, Wielohradzkiego i Karola wydało się jej chwilowem wyzwoleniem z jarzma, przygniatającego całą jej istotę nieznośnym ciężarem.

Karol, z wrodzonym sobie sprytem, odgadł w mgnieniu oka usposobienie i stan duszy: siostry, barona i jego matki. Zaczął więc żartować i przedrwiwać wszystkich krewnych, powinowatych i znajomych, którzy przed godziną tu bawili, podejmowani gościnnie i niby serdecznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Uroczystość w pałacu Elizejskim.

W obecnym czasie, gdy uwaga całej Europy zwrócona jest na Francyę, ze względu na podróż prezydenta Fallieres'a na północ celem odwiedzenia, względnie zrewizytowania swych „koronowanych kolegów“, zajęła też prasę europejską sprawa małżeństwa córki prezydenta, która w ubiegłym tygodniu, więc bezpośrednio po powrocie „papy“ z tej politycznej podróży, wstąpiła w związki małżeńskie.

Swoją drogą dziwić się należy, że demokratyczna Francya tak się cieszy tem zdarzeniem, które dotąd tylko w monarchicznie rządzonych państwach znajdowało oddźwięk i w prasie.

W dniu 10 siernia odbył się ślub cywilny pana Jeana (Jana) Lanesa z panną Fallieres, a to naprzód przed burmistrzem ósmego okręgu miejskiego w Paryżu, w obecności ministrów i ciała dyplomatycznego. Potem odbyła się ceremonia kościelna na której byli obecni i członkowie ciała dyplomatycznego, między nimi przedstawiciel Austro-Węgier, ambasador hr. Kuevenhüller, a miała ona miejsce w kościele parafialnym św. Magdaleny.

Po ceremonii odbył się następnie obiad familijny w pałacu Elizejskim, rezydencyi prezydenta Francyi.

Pan Jan Lanes jest sekretarzem prezydenta Fallieresa.

Po obiedzie udali się państwo młodzi w podróż poślubną.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, gdy państwo młodzi, opuściwszy kościół św. Magdaleny, udają się do oczekujących ich powozów.



Uroczystość w pałacu Elizejskim: Nowożeńcy opuszczają po ślubie kościół św. Magdaleny.

Zjazd monarchów w Ischlu.

Co roku w czasie wakacyjnym odbywają się zjazdy monarchów, które prasa całego świata śledzi z wielką uwagą, wysnuwając z nich horoskopy polityczne na przyszłość.

W ostatnich dniach, bezpośrednio po zjeździe z cesarzem niemieckim w Kronbergu, przybył król angielski Edward VII. do Ischlu, aby złożyć życzenia cesarzowi Franciszkowi Józefowi I. z okazyi jego jubileuszu. Pomiędzy dworem wiedeńskim a londyńskim panują od dawnego czasu bardzo serdeczne stosunki, które w obecnym czasie jeszcze, stały się serdeczniejszymi, gdyż król angielski pragnie pozyskać Austryę dla swoich planów odosobnienia Niemiec, a zresztą łączy oba dwory wspólność interesów na półwyspie Bałkańskim, zwłaszcza w tak ważnej chwili jak obecna, gdy po nadaniu konstytucyi państwo ottomańskie wchodzi w nową fazę i chciałoby się wyemancypować z pod wpływu dworów europejskich, których interesy są na tureckim terenie bardzo zaangażowane.

Spadkobierca tronu angielskiego, odziedziczył po swej matce ś. p. królowej Wiktoryi, przyjaźń, jaka ją łączyła z cesarzem Franciszkiem Józefem i nie pomija nigdy sposobności, aby z okazyi corocznej kuracyi w Maryenbadzie, odwiedzić swego koronowanego kolegę; tembardziej też w bieżącym roku jubileuszowym nie mógł tego zaniedbać.

W dniu 12 sierpnia przybył król Edward do Ischlu o godzinie 10 przed południem. Na dworcu kolejowym powitał go cesarz wraz z arcyksiążętami, poczem obaj monarchowie wśród entuzyastycznych okrzyków tłumnie zebranej publiczno-



Zjazd monarchów w Ischlu: Ogólny widok Ischlu. W środku willa (X), w której cesarz corocznie spędza letnie miesiące.

ści, w otwartym powozie udali się do kwatery króla w hotelu „Elżbiety“, gdzie znów powitały Edwarda arcyksiężne i ciało dyplomatyczne. Po powitaniu udał się król do swych apartamentów, cesarz zaś powrócił do swej willi.

W godzinę potem zajechał król przed willę cesarską, aby złożyć cesarzowi gratulacye z powodu jubileuszu, skąd powrócił do swej kwatery, gdzie go cesarz o godzinie pierwszej rewizytował. Następnie odbyło się śniadanie w willi cesarskiej, w którem oprócz obu monarchów wzięli udział członkowie domu cesarskiego, świta króla Elwarda i dygnitarze dworscy.

Po śniadaniu odwiózł cesarz króla Edwarda automobilem do hotelu „Elżbiety“. Był to pierwszy wypadek, iż cesarz austryacki odbył drogę automobilem, którego dotąd konsekwentnie unikał. Wywołało to niemałą sensacyę w całej Austryi, a zwłaszcza w Wiedniu. Podobno jednak zapowiedział cesarz, iż nigdy więcej do automobilu nie wsiądzie.

Król Elward przyjął potem br. Aehrenthala na półgodzinnej audyencyi, poczem minister wraz z podsekretarzem stanu dla spraw zagranicznych, Hardingiem, udali się do hotelu Bauera, gdzie odbyli jednogodzinną konferencyę, po której przedsięwzięli wspólną przejażdżkę.

W czasie konferencyi omawiano głównie sprawy tureckie. O godz. 5 po poł. pojechał cesarz po króla Edwarda do hotelu i udał się z nim do swej willi. O godzinie ósmej wieczór odbył się na cześć dostojnego gościa obiad galowy, w czasie którego nastąpiła produkcya chóru śpiewaków. W czasie obiadu wygłosili obaj monarchowie bardzo serdeczne toasty a po herbacie odwiózł cesarz swego gościa z powrotem do hotelu.

13 sierpnia odjechał Edward VII przed południem do Maryenbadu, żegnany na dworcu przez cesarza, członków domu cesarskiego i licznych dygnitarzy. Miasto Ischl było wspaniale udekorowane, wieczorem zajaśniała wspaniała iluminacya. Obecność przy zjeździe obu ministrów spraw zagranicznych, bar. Aehrenthala i Hardinga, nadaje zjazdowi charakter wysoce polityczny.

Illustracye nasze przedstawiają obu monarchów, jadących z dworca kolejowego powozem do hotelu, jazdę automobilem na śniadanie do willi cesarskiej i ogólny widok Ischlu.



Zjazd monarchów w Ischlu: Cesarz Franciszek Józef i król Edward VII w powozie, w drodze z dworca kolejowego.

Próby ugaszenia pożaru w Borysławiu.

Opinia publiczna w Galicyi śledzi bacznem okiem sprawę ugaszenia pożaru szybów naftowych w Borysławiu i Tustanowicach, który wybuchł właśnie w czasie, gdy pertraktacye zarządu kolejowego z producentami ropy naftowej dobiegły do końca. Opalanie lokomotyw ropą dałoby producentom miejsce zbytu ropy, a temsamem musiałaby się podnieść jej cena, która w ostatnich czasach bardzo spadła, dzięki wielkiej wydatności niektórych szybów, jak np. szybu Oil City.

Prasa codzienna informowała nas początkowo bardzo dokładnie o postępie prób ugaszenia pożaru, a z chwilą, gdy ogłoszono konkurs na podanie niezawodnego środka ugaszenia szalejącego żywiołu, zabrały głos nawet pisma humorystyczne, ogłaszając szereg propozycyi, w postaci listów od rozmaitych osobistości, które podają najniezawodniejsze sposoby stłumienia pożaru. Ogień tymczasem jak szalał, tak szaleje i kpiąc sobie po prostu z wszelkich zarządzeń urzędu górniczego, który próbował najrozmaitszych środków — jak dotąd bezskutecznie.

Wreszcie w akcyi ratunkowej nastąpiła stagnacya — wyczerpano wszelkie wskazane środki, któreby umożliwiły ugaszenie pożaru.

Gdy właściciele kopalni „Oil City“ ogłosili konkurs ze znaczną nagrodą za podanie sposobu ugaszenia płonącego szybu, prócz wspomnianych wyżej humorystycznych konkurentów, których nigdy nie brak, choćby chodziło o rzecz najpoważniejszą, zgłosiło się także kilka poważnych osób, między niemi radca cesarski, Fryderyk Schember, ze swoim projektem ugaszenia pożaru. Projekt ten trzymany jest dotychczas w tajemnicy, ale powiadomieni o nim fachowcy twierdzą, że rokuje on wielkie nadzieje powodzenia.

Na razie postępuje się w ten sposób, że krok za krokiem zasypują, przeważnie żydzi, którzy w tych robotach mają największą wprawę, ziejącą otchłań ziemią, a ponieważ podchodzą prawie do samego ognia, oblewa się ich ciągle wodą ze sikawek, aby uchronić ich od możliwego poparzenia ogniem.

Najświeższe telegramy z miejsca katastrofy donoszą, że pożar będzie w kilku dniach stanowczo ugaszony.

Obie illustracye, jakie w bieżącym numerze



Próby ugaszenia pożaru w Borysławiu: Pracujący nad zasypaniem płonącego szybu żydzi, oblewani ciągle wodą ze sikawek. Fot. Liebermann, Drohobycz.

zamieszczamy, dadzą Czytelnikom sposobność przekonania się o rozmiarze pożogi oraz o niebezpieczeństwie, jakie grozi sąsiednim szybom w razie, gdyby pożar nie został na czas ugaszony i gdyby np. paląca się ropa dostała się na rzekę płynącą obok, coby ułatwiło przeniesienie się ognia i na dalszą przestrzeń.

W każdym razie dla galicyjskiego przemysłu naftowego jest pożar ten dotkliwą klęską!



Zjazd monarchów w Ischlu. Cesarz Franciszek Józef i król Edward VII w automobilu przed willą cesarską.

Głodowa śmierć śmiałego podróżnika.

Niedawno doniosły dzienniki o tragicznym zgonie śmiałego podróżnika duńskiego, Myliusa Erichsena, który pochodził z zachodniej Jutlandyi.

Pierwszą podróż na północ przedsięwziął Erichsen w r. 1902 jako dowódca ekspedycyi polarnej, w skład której wchodził malarz hr. Harald Moltke, dr. med. Bertelsen i kilku innych. Celem podróży było zbadanie Grenlandyi pod względem etnograficznym, przyrodniczym i geograficznym. Po trzyletnim pobycie między Eskimosami, w czasie którego dotarli szczęśliwie do wschodnich wybrzeży Grenlandyi, powrócili śmiali badacze w r. 1905 do ojczyzny z obfitym plonem w postaci niezmiernej ilości fotografii, szkiców, map itd. W krótkim czasie potem rozpoczął Erichsen drugą podróż polarną, na której koszta wyasygnował mu rząd pruski 150 tysięcy marek, drugie tyle złożyły prywatne osoby drogą dobrowolnych składek. Na pokładzie okrętu „Danmark“ wyruszyła ekspedycya, w skład której wchodziło 25 uczestników, między nimi czternastu uczonych, w dniu 24. czerwca 1906 z portu w Kopenhadze.

Celem wyprawy było dokładne zbadanie stałego lądu grenlandzkiego od przylądka Bismarka do zatoki Independence, a główny nacisk miano położyć na badania etnograficzne i historyczne. Wynik badań był wprost nadspodziewany, sporządzono nawet dokładną mapę Grenlandyi.

Ale badania te opłacone zostały śmiercią dzielnego dowódcy wyprawy. Według nadeszłych do Europy wiadomości, Erichsen z jednym tylko towarzyszem podróży oraz jednym Eskimosem, zapuściwszy się w głąb kraju, zabłądzili wśród śnieżnej zawiei. Gdy po kilkunastodniowem błąkaniu się wyczerpały się ich zapasy, padli obaj śmiali podróżnicy ofiarą śmierci głodowej i strasznych mrozów.

Eskimosowi więcej wytrzymałemu od Europejczyków, udało się dowlec do stacyi, gdzie jednak i on po paru dniach umarł.

Erichsen liczył w chwili śmierci czterdzieści lat życia.



Próby ugaszenia pożaru w Borysławiu: Widok płonącego szybu »Oil City«. Fot. Liebermann, Drohobycz.

Przed wystawą hygieniczną w Lublinie.

W najbliższym czasie, bo w pierwszej połowie września, otwarta zostanie w Lublinie wielka wystawa hygieniczno lekarska. Obejmie ona prócz działu hygieny i lecznictwa, także przemysł, zwłaszcza o ile on stoi w związku z temi dwoma gałęziami wiedzy.



Głodowa śmierć śmiałego podróżnika: Mylius Erichsen.

Zapowiada się ta wystawa nadzwyczaj interesująco, a z liczby dotychczasowych zgłoszeń wystawców wnosić należy, że da całkowity obraz stosunków hygieniczno-leczniczych w całem Królestwie Polskiem. A zauważyć należy, że hygiena stoi tam na poziomie znacznie wyższym, niż w Galicyi, gdzie na tem polu jeszcze bardzo wiele jest do zrobienia. Zbytecznem zaś byłoby wykazywać, jak doniosłe znaczenie społeczne i ekonomiczne ma hygiena w życiu każdego narodu. Wystawa w Lublinie da najszerszym warstwom możność za-

poznania się z istotą najnowszych hygieniczno le karskich postępów, które tak są olbrzymie i tak zajmujące, da też możność przekonania się naocznego o ich znaczeniu.

Wystawa trwać ma przez trzy tygodnie, tj. do 4 października. Z okazyi tej zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy komitetu wystawowego i reprodukcyę plakatu z zapowiedzią.



Przed wystawą hygieniczną w Lublinie: Plakat z zapowiedzią wystawy.

Z konstytucyjnej Turcyi.

Miesiąc upłynął od chwili, gdy z małego garnizonowego miasta w Macedonii, umknął w góry turecki major Niazi-bej z około 200 żołnierzami, czem dał hasło do wybuchu jawnej rewolucyi wojskowej, od dawna już przygotowanej przez Młodoturków wśród szeregów armii padyszacha. Głową całej organizacyi młodotureckiego wrzenia wśród armii w Macedonii, które bądź co bądź stało się ostateczną przyczyną nadania, względnie przywrócenia zawieszonej konstytucyi, był generał-major Enver bej, którego portret podajemy w obecnym numerze.

Gdy młodoturecki sprzysiężenie odniosło tak świetne zwycięstwo, nic dziwnego, że i przywódcy jego stali się obecnie najpopularniejszymi ludźmi w Turcyi, a prym między nimi wiedzie bez wątpienia Enver-bej ze Salonik. Nic też dziwnego, że ogólna sympatya zwraca się ku nim, gdyż naród uważa ich za swych duchowych przywódców, a i padyszach odnosi się do nich z życzliwością, gdyż dzięki ich działalności utwierdził się na swym tronie i zjednał sobie popularność wśród szerokich mas ludności, której mu dotąd niestety brakowało.

Chociaż swoją drogą Młodoturcy, stawszy się panami sytuacyi, nie dowierzają jeszcze sułtanowi i nie mogą mu darować przeszłości, a nawet rozeszły się wieści, że chcą go zniewolić do abdykacyi. Zmiana gabinetu tureckiego była ich dziełem, im też mają do zawdzięczenia swoją dymisyę poprzedni dowódcy i zausznicy sułtana, dla których skończyły się złote czasy, a jakie to były czasy najlepiej świadczy okoliczność, że jeden z nich, dawny sekretarz sułtana, potrafił w stosunkowo krótkim czasie „uskładać“ sobie okrągłe 60 milionów, a inni nie pozostali za nim w tyle.

Następstwem nadania konstytucyi jest ogólna amnestya przestępców politycznych, z której skorzystają bezwątpienia ofiary dotychczasowych, absolutnych rządów dworskiej kamaryli, a takich jest obecnie bardzo wielu. Ostatni też ruch rewolucyjny w Macedonii, skutkiem nadania konstytucyi stracił racyę bytu, a równocześnie Sandański i Panica, mordercy Sarafowa, a zarazem przywódcy band powstańczych w Macedonii, o których już niejednokrotnie *Nowości Illustrowane* wspominały, stracili pole do działania, rozpuścili swoje bandy i korzystając z amnestyi, mogą, jeśli dowierzają, że obecna sytuacya się utrzyma, powrócić do kraju i rozpocząć spokojne życie.

Stanie się to niewątpliwie w najbliższym czasie, a z chwilą tą spodziewać się należy zupełnego uspokojenia nieszczęsnej krainy, miotanej od tak długiego już czasu wewnętrznymi niepokojami.

Odnośnie do ostatnich zajść w Macedonii i Turcyi zamieszczamy zdjęcia fotograficzne, przedstawiające najpopularniejszego Młodo-turka, generała Enver-beya i dwu b. przewódców powstańczych band, Sandańskiego i Panicę.



Fot. Zakład fotogr. »Zofia« w Lublinie.

Przed wystawą hygieniczną w Lublinie: Komitet wystawy: 1. Przanowski Leon, prezes; 2. Zaremba Konstanty, wiceprezes; 3. dr. Tołwiński Władysław, wiceprezes; 4. Wierciński Gustaw, gospodarz; 5. Domański Emilian, członek komitetu; 6. Piotrowski Tadeusz, skarbnik; 7. dr. Modrzewski Jan, sekretarz.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA.

przez Maurycego Leblanc.

4 (Ciąg dalszy).

Arsen Lupin powtórzył poważnie:
— Nie stanę na mojej rozprawie?
— Naprawdę!
— Ależ tak mój drogi; czy wyobrażasz sobie, że długo będę gnić na wilgotnej słomie? Obrażasz mnie. Arsen Lupin pozostaje w więzieniu tylko tyle, ile mu się żywnie podoba; ani minuty dłużej.
— Byłoby może rozsądniej nie dostawać się tam wcale — zauważył ironicznie inspektor policyi.
— Ach, pan szydzi? Pan przypomina sobie, że miał zaszczyt przeprowadzić moje zaaresztowanie? Dowiedz się szanowny mój przyjacielu, że nikt, i pan nie więcej jak kto inny, nie śmiałby palcem mnie dotknąć, gdyby nie wzgląd o wiele ważniejszej natury, który obezwładnił mnie w chwili decydującej.
— Zadziwiasz mnie pan.
— Kobieta patrzyła na mnie Ganimardzie; kobieta, którą kochałem. Czy rozumiesz pan, co zawiera w sobie ten fakt, gdy patrzy na nas kobieta, którą kochamy? Nic mnie więcej wówczas nie obchodziło, przysięgam panu. I oto dlaczego tu jestem.
— Już od dość dawna — pozwolę sobie zauważyć.
— Pragnąłem się zapomnieć. Nie śmiej się pan: epizod był prześliczny i dotąd jeszcze zachowuję o nim wspomnienie, które mnie rozrzewnia. Pozatem jestem trochę neurastenik. Życie za naszych czasów jest tak gorączkowe! Trzeba umieć w pewnych chwilach przeprowadzić to, co nazywają kuracyą odosobnienia. To miejsce jest najwłaściwsze dla tego rodzaju ćwiczeń. Przeprowadza się tu kuracyę zdrowia *) w całej ścisłości.
— Panie Lupin — zauważył Ganimard — pan żartujesz.
— Ganimardzie — wyrzekł Lupin — dzisiaj piątek. W przyszłą środę przyjdę do pana wypalić cygaro przy ulicy Pergolèse o czwartej popołudniu.
— Arsenie Lupin, czekam na pana.
Uścisnęli się za ręce jak dwaj dobrzy przyjaciele, którzy cenią się wzajemnie według swej rzeczywistej wartości; poczem stary policyant skierował się do wyjścia.
— Ganimard!
— Co takiego?
— Ganimard, zapominasz pan swego zegarka.
— Mojego zegarka?
— Tak, zabłąkał się do mojej kieszeni.
Podał zegarek ze słowami uniewinnienia się.
— Wybacz pan... złe przyzwyczajenie... Ale to nie racya pozbawiać pana zegarka, dlatego, że mój mnie odebrali. Tembardziej, że mam tu chronometr, na który się nie uskarżam, który w zupełności zadawalnia moje potrzeby.
Wyjął z szufladki duży zegarek złoty, masywny, bogaty, ozdobiony ciężkim łańcuchem.
— A ten z czyjej kieszeni pochodzi?
Arsen Lupin spojrzał niedbale na cyfry.
— J. B... kto to do licha być może?... Ach, tak! przypominam sobie, Juliusz Bouvier, mój sędzia śledczy, bardzo miły człowiek...

Wycieczka Arsena Lupina.

W chwili, kiedy Arsen Lupin, ukończywszy obiad, wyjął z kieszeni wyborne cygaro ze złotą obrączką i przyglądał się mu z upodobaniem, drzwi celi otwarły się. Zaledwo miał tyle czasu, aby wrzucić cygaro do szufladki i odsunąć się od stołu. Wszedł stróż więzienny; był to czas przechadzki.
— Oczekiwałem cię przyjacielu — zawołał Lupin zawsze w dobrym humorze.
Wyszli. Zaledwo znikli na zakręcie kurytarza, kiedy dwóch ludzi wpadło do jego celi i wnet rozpoczął się najstaranniejszy przegląd wszystkiego, co się tam znajdowało. Jeden z nich był inspektorem Dieuzy, drugi — inspektor Folenfant.
Chciano raz mieć Lupina w ręku. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że utrzymuje stosunki na zewnątrz i porozumiewa się ze swymi wspólnikami. Nie dalej jąk wczoraj *Grand Journal* ogłosił kartkę Lupina, przesłaną sądowemu współpracownikowi dziennika:

„Panie!
W jednym z ostatnich artykułów dziennika wyraziłeś się pan o mnie w sposób, którego nic usprawiedliwić nie może. Na kilka dni przed rozpoczęciem mojej sprawy przyjdę do pana zażądać rachunku.
Wyrazy szacunku.
Arsen Lupin.

Pismo było niemylnie Arsena Lupin. A więc pisywał listy. A więc je otrzymywał. A więc nie ulega wątpliwości, że gotował się do wymknięcia, zapowiedzianego w tak arogancki sposób.
Położenie stawało się drażliwem. Porozumiawszy się z sędzią śledczym, naczelnik policyi, pan Dudouis, udał się osobiście do La Santé, aby przedstawić dyrektorowi więzienia środki, jakie powinien przedsięwziąć. Stąd to właśnie wysłanych zostało dwóch ludzi do celi więźnia.
Podnosili każdą deskę podłogi, rozebrali łóżko, robili wszystko co robi się w takich razach i ostatecznie niczego nie znaleziono. Mieli już zaniechać poszukiwań, kiedy z największym pośpiechem wpadł stróż, wołając:
— Szufladka... przepatrzcie szufladkę stołu! Kiedy wchodziłem zdawało mi się, że ją zasuwał prędko.
Zajrzeli i Dieuzy wykrzyknął:
— Na Boga, tym razem mamy go w ręku!
Folenfant powstrzymał go.
— Stój mój poczciwcze, naczelnik sam spisze protokół.
— Wszakże to wspaniałe cygaro...
— Zostaw Hawannę i pójdziemy do naczelnika.
W parę minut potem pan Dudouis oglądał szufladkę. Znalazł tam naprzód pęk artykułów dziennikarskich, wyciętych z *Argus de la Presse*, dotyczących Arsena Lupin, potem woreczek z tytoniem, fajeczkę, papier nadzwyczaj cienki i nakoniec dwie książki.
Oglądał tytuły. Jedna: *Kult bohaterów* Carlyle'a, wydanie angielskie, druga — wspaniałe wydanie, w modnej oprawie: *Podręcznik do Epikteta*, niemieckie tłómaczenie, wydane w Leyden w 1634 r. Przerzucając karty pan Dudouis spostrzegł, że wszystkie stronice miały podkreślenia, notatki, nacięcia. Czy były to znaki umówiowe, czy tylko uwagi zachwyconego czytelnika?
— Przepatrzmy wszystko szczegółowo — rzekł pan Dudouis.
Zbadał woreczek od tytoniu, fajkę. Potem podnosząc sławne cygaro ze złotą obrączką:
— Do licha! — wykrzyknął — nasz przyjaciel urządza się dobrze; drugi Henryk Clet!
I machinalnym ruchem palacza podniósł cygaro do ucha, potrzaskując niem w palcach. Nagle wykrzyknął. Cygaro pod naciskiem palców ugięło się. Zaczął przyglądać się mu ze zdwojoną uwagą. Wkrótce zauważył coś białego między zwitkami tytuniowego liścia. Ostrożnie zapomocą szpilki wydostał trąbkę bardzo cienkiego papieru, nie grubszą od wykałaczki do zębów. Był to bilecik; na nim stało parę słów pisanych drobnem pismem kobiecem:

„Koszyk zamieniony. Przygotowania w ośmiu dziesiątych gotowe. Pociskając nogą zewnątrz, blachę poruszysz z góry na dół. Codzień od dwunastej do szesnastej H·P będzie oczekiwać. Ale gdzie? Odpowiedz prędko. Bądź spokojny, przyjaciółka czuwa nad tobą.“

Pan Dudouis pomyślał chwilę i rzekł:
— Dosyć wyraźnie... koszyk... ośm skrzynek... od dwunastu do szesnastu, to znaczy od dwunastej do czwartej...
— Ale ten H-P oczekujący?
— H P w tym wypadku oznaczać będzie automobil, H-P, *horse-power*, czy w języku sportowców nie tak oznacza się siła motoru? Dwadzieścia cztery H·P, to automobil o sile dwudziestu czterech koni.
Podniósł się i spytał:
— Czy więzień ukończył śniadanie?
— Tak jest.
— A ponieważ nie czytał jeszcze biletu, jak świadczy o tem stan cygara, możemy wnosić, że dopiero co je otrzymał.
— Ale jak?
— W potrawach, w chlebie, w kartoflu, czy ja wiem?
— Niemożebne! Pozwolono mu przynosić z restauracyi jedzenie, aby módz złapać go na czemkolwiek i dotąd nic nie wykryto.
— Poszukamy dziś wieczorem; będzie zapewne odpowiedź Lupina. Tymczasem zatrzymaj go pan jeszcze na chwilę. Chcę to zanieść panu sędziemu śledczemu. Jeśli będzie mego zdania odfotografujemy natychmiast list i za godzinę będziesz pan mógł włożyć do szuflady takie samo cygaro z oryginalnym listem wewnątrz. Trzeba aby więzień nie podejrzywał niczego.
Nie bez pewnej ciekawości wszedł p. Dudouis wieczorem do kancelaryi La Santé w towarzystwie inspektora Dieuzy.
W kącie na piecu stały trzy talerze.
— Jadł?
— Jadł — odpowiedział dyrektor.
— Dieuzy, zechciej pan pokrajać w drobne kawałki te resztki makaronu i skruszyć tę gałeczkę z chleba... Nic?
— Nic, panie naczelniku.
Pan Dudouis oglądnął dobrze widelec, łyżkę, nakoniec nóż, zwykły więzienny, nóż podług regulaminu z zaokrągloną klingą. Obrócił rączką na lewo, potem na prawo. Na prawo — rączka się ugięła. Nóż był wydrążony i służył za futerał dla świstka papieru!
— Phi! — ozwał się pan Dudouis — nie jest to zbyt dowcipnie na takiego ptaszka jak Arsen. Ale nie traćmy czasu. Dieuzy, ruszaj pan co prędzej przeprowadzić rewizyę w restauracyi.
Poczem czytał:

„Powierzam się tobie. H·P niech idzie za mną zdaleka, codzień. Ja pójdę naprzód. Do widzenia droga, miła przyjaciółko“.

— Nakoniec! — wykrzyknął pan Dudouis zacierając ręce z radości. — Sądzę, że sprawa jest na najlepszej drodze. Jedno dotknięcie ręką z naszej strony i wymknięcie się uda... przynajmniej na to, aby wyłapać wspólwinnych.
— A jeśli Arsen Lupin wyśliźnie się nam przez palce? — powątpiewał dyrektor.
— Puścimy w ślad za nim mnóstwo ludzi. Jeśli jednak zbyt będzie zręcznym.. do pioruna, tem gorzej dla niego! Co do bandy — jeśli dowódca nic nie chce powiedzieć, inni powiedzą.

* * *

Istotnie Arsen Lupin niewiele mówił. Od kilku już miesięcy pan Jules Bouvier, sędzia śledczy, napróżno starał się cośkolwiek z niego wydobyć. Badania schodziły do rozmów, pozbawionych wszelkiego interesu, toczących się pomiędzy sędzią i adwokatem Danvalem, jednym z najświetniejszych bohaterów kratek sądowych, który zresztą tyle wiedział o podsądnym, co każdy pierwszy lepszy.
Od czasu do czasu Arsen Lupin przez grzeczność raczył rzucić:
— Ależ tak, panie sędzio, zgadzamy się zupełnie: kradzież w Crédit Lyonnais, kradzież przy ulicy Babilońskiej, emisya fałszywych biletów bankowych, sprawa polis ubezpieczeń, grabież zamków Armesnil, Gouret, Imblevain, Groseillers, Malaquis — wszystko jest dziełem pańskiego sługi.
— A zatem, czy mógłbyś mi pan wytłómaczyć...
— To bezużyteczne; przyznaję się do wszystkiego i nawet do dziesięć razy więcej, niż pan przypuszczasz.
Zmęczony do ostatka sędzia zaprzestał wreszcie nudnych badań. Dowiedziawszy się o dwóch przejętych biletach, zabrał je z sobą. Regularnie o dwunastej w południe Arsen Lupin wraz z innymi więźniami przewożony był w wozie więziennym do śledczego aresztu; o trzeciej lub czwartej wracali stamtąd.
Otóż pewnego dnia powrót ten dokonał się w niezwykłych okolicznościach. Inni więźniowie z La Santé nie byli jeszcze przesłuchani, postanowiono zatem odwieźć naprzód Arsena Lupin. Wsiadł zatem do wozu sam jeden.
Te wozy więzienne, zwane przez pospólstwo „koszami na sałatę“, przedzielone są przez całą swą długość kurytarzem, do którego z prawej i z lewej strony przylega po pięć klatek. Klatki te są tak urządzone, że więzień może tylko siedzieć i tym sposobem siedzą jeden obok drugiego po pięciu w rząd, oddzieleni wszakże od siebie mocną przegrodą. Strażnik, stojąc na końcu kurytarza, czuwa nad więźniami.
Arsen został wprowadzony do trzeciej celki po

*) Gra słów: la santé = zdrowie i La Santé = więzienie w Paryżu.

prawej stronie i ciężki wóz ruszył z miejsca. Lupin zdawał sobie sprawę, że skręcono z ulicy Horloge i przejeżdżano właśnie przed Pałacem Sprawiedliwości. Tutaj na samym środku mostu Świętego Michała Arsen Lupin oparł prawą nogę, jak zresztą zawsze to czynił, na żelaznej blasze, zamykającej celę. Nagle coś się odpięło i blacha odsunęła się nieznacznie. Mógł przekonać się, że znajduje się w środku między dwoma kołami wozu.

Wytężywszy wzrok oczekiwał. Wóz zwolna wtoczył się na ulicę Świętego Michała. Na rogu Saint-Germain stanął. Przy jakimś małym wózku koń zaplątał się. Ruch wozów został nagle wstrzymany, w jednej chwili stłoczyło się mnóstwo dorożek i omnibusów.

Arsen Lupin wysunął głowę. Inny wóz więzienny stanął właśnie obok. Lupin podniósł blachę, postawił nogę na szprychę wielkiego koła i skoczył na ziemię.

Jeden z furmanów spostrzegł go, parsknął śmiechem, potem zaczął wołać. Ale głos jego zatracił się w hałasie wozów, które właśnie ruszyły z miejsca. Zresztą Arsen Lupin już był bardzo daleko.

Zrazu kilka kroków pobiegł szybko; ale stanąwszy na chodniku, obrócił się, rzucił wzrokiem dokoła i zdawał się kombinować jak człowiek, który nie wie dobrze, w jakim puścić się kierunku. Potem namyśliwszy się włożył ręce do kieszeni i z niedbałą postacią przechodnia używającego wolnej przechadzki, puścił się w górę bulwarów.

Pogoda była przyjemna, miły, lekki dzień jesienny. Kawiarnie były pełne. Usiadł na tarasie jednej z nich.

Kazał podać sobie bock i paczkę papierosów. Zwolna popijał; wypalił papierosa, potem drugiego. Wreszcie powstał i kazał chłopcu zawołać płatniczego.

Gdy płatniczy przyszedł Arsen Lupin podnosząc głos, aby go wszyscy słyszeli, rzekł:

— Przykro mi bardzo mój panie, ale zapomniałem portmonetki. Może imię moje wystarczy, abyś pan zechciał skredytować mi na dni parę: Arsen Lupin.

Płatniczy popatrzył nań, domyślając się żartu. Ale Arsen powtórzył:

— Lupin, więzień z La Santé, chwilowo na wycieczce. Mam nadzieję, że imię moje daje wszelką rękojmię.

I oddalił się wśród ogólnego śmiechu; nikt nie myślał go zatrzymywać. Przeszedł na skos ulicę Soufflot i zawrócił na Saint Jacques. Szedł zwolna, zatrzymując się przed wystawami sklepów, paląc papierosy. Na bulwarze Port Royal zastanowił się, pomyślał i zwrócił prosto na ulicę La Santé. Wkrótce wysokie, ponure mury więzienia zarysowały się przed nim. Obszedłszy je, zbliżył się do strażnika i uchylając lekko kapelusza, zapytał:

— Tu jest więzienie La Santé?

— Tak.

— Chciałbym wejść do celi. Wóz pozostawił mnie na drodze i nie chciałbym nadużywać...

Strażnik mruknął:

— Idź pan swoją drogą. No, ruszaj prędzej.

— Przepraszam bardzo, ale droga moja właśnie prowadzi przez tę bramę. I jeśli przeszkodzisz pan Arsenowi Lupin ją przekroczyć, może cię to zbyt drogo kosztować przyjacielu.

— Arsen Lupin! cóż to mi pan śpiewasz!

— Żałuję bardzo, że nie mam mojej karty — odrzekł Lupin, udając, że szuka po kieszeniach.

Strażnik zmierzył go od stóp do głowy, nie wiedząc co myśleć. Potem nie rzekłszy już nic, jakby wbrew swojej woli pociągnął za dzwonek. Żelazne drzwi uchyliły się nieco.

W parę minut potem wpadł dyrektor do kancelaryi, gestykulując rękami, udając gniew gwałtowny. Arsen uśmiechnął się.

— Panie dyrektorze, nie graj pan ze mną komedyi! Cóż to! przezornie wiozą mnie samego w wozie, ułatwiają małe wyśliznięcie się i wyobrażają sobie, że wezmę zaraz nogi za pas i połączę się z mymi przyjaciółmi? A dwudziestu agentów bezpieczeństwa, pędzących za mną pieszo, konno i na bicyklach? Dobrzeby mnie urządzili! Nie wyszedłbym z rąk ich żywy. Proszę otwarcie powiedzieć, czy nie na to liczyliście, panie dyrektorze?

Wzruszył ramionami i dodał:

— Proszę pana, panie dyrektorze, niech się mną nie zajmują. W dniu kiedy zechcę wymknąć się, nie będę potrzebował niczyjej pomocy.

Nazajutrz *Echo de France*, które stanowczo stawało się urzędowym dziennikiem Arsena Lupin — powiadano, że to był jeden z głównych jego wspólników — podało wszystkie szczegóły tej próbnej ucieczki. Nawet treść bilecików, zamienionych między więźniem a jego tajemniczą przyjaciółką, środki posługujące tej korespondencyi, współudział policyi, przechadzka z bulwaru Saint-Michel, zajście w kawiarni Soufflot — wszystko było opisane.

Wiadomo także, że poszukiwania inspektora Dieuzy w restauracyi nie dały żadnego rezultatu.



— Lupin, więzień z La Santé, chwilowo na wycieczce.

I dowiedziano się przytem rzeczy istotnie zdumiewającej, wskazującej na nieskończoność źródeł, któremi człowiek ten posługiwał się: więzienny wóz, w którym go przewożono, był także podstawionym, a należał do liczby zwyczajnych sześciu wozów, których używano w więzieniu.

Nikt już nie powątpiewał o przyszłej ucieczce Arsena Lupin. On sam mówił o niej zupełnie stanowczo, jak to świadczyła odpowiedź, dana panu Bouvier nazajutrz po wypadku.

Gdy sędzia zażartował z jego nieudałej wycieczki, Lupin spojrzał mu prosto w oczy i rzekł chłodno:

— Uważaj pan dobrze i uwierz mi na słowo; ta próba wymknięcia się wchodziła w plan mojej ucieczki.

— Nie rozumiem — odciął sędzia.

— I nie trzeba, abyś pan rozumiał.

A kiedy sędzia w dalszym ciągu badania, które nazajutrz w całej rozciągłości pojawiło się na szpaltach *Echo de France* — powrócił do przerwanych pytań, Arsen Lupin zawołał tonem najwyższego zmęczenia:

— Mój Boże, mój Boże, po co to wszystko! Wszystkie te pytania nie mają najmniejszego znaczenia!

— Jakto nie mają znaczenia?

— Ależ tak, bo nie będę obecnym na mojej sprawie.

— Nie będziesz pan...

— Nie będę. Jest to moje postanowienie niezłomne. Nic mnie nie zmusi, bym go nie dotrzymał...

Ta pewność, te niespodziewane wskazówki w dziennikach, pojawiające się codziennie, drażniły władzę i mieszały ją. Były tam tajemnice, które tylko Arsen Lupin posiadał i on jeden tylko mógł je wyjaśnić, od niego więc pochodziły wszystkie te wiadomości. Lecz w jakim celu czynił je i jaką drogą?

Postanowiono zmienić mu celę. Pewnego wieczora przeszedł na niższe piętro. Ze swej strony sędzia skończył badania i przesłał je do prokuratoryi.

Nastała cisza, trwało to ze dwa miesiące. Cały ten czas Arsen Lupin przeleżał na łóżku, prawie zawsze twarzą obrócony do ściany. Zmiana celi zdawała się go przygnębiać. Odmówił przyjęcia swego adwokata. Zaledwo po kilka słów zamieniał ze stróżami.

Na dwa tygodnie przed rozpoczęciem procesu ożywił się nieco. Skarżył się na brak powietrza. Wyprowadzano go co rana na podwórze, bardzo wcześnie z dwoma strażnikami po obu jego stronach.

Ciekawość publiczna jednak nie usypiała. Codzień wyczekiwano wiadomości o jego ucieczce. Prawie mu jej życzono, do takiego stopnia podobał się tłumom swoją werwą, wesołością, zmiennością, sprytem w pomysłach i tajemniczością. Arsen Lupin musiał uciec. Było to nieuniknionem, koniecznem. Dziwiono się nawet, że tak się opóźnia. Co rano prefekt policyi pytał swojego sekretarza:

— Co, nie uciekł jeszcze?

— Jeszcze nie panie prefekcie.

— A więc zrobi to jutro.

W wigilię procesu w redakcyi *Grand Journal* pojawił się jakiś człowiek, zażądał widzenia się ze sprawozdawcą sądowym, a gdy ten przyszedł, rzucił mu w twarz kartę i sam szybko się oddalił. Na karcie były te słowa: „Arsen Lupin dotrzymuje zawsze swych obietnic“.

* * *

W takich to warunkach rozpoczęła się rozprawa Arsena Lupin. Napływ był ogromny. Wszyscy pragnęli oglądać słynnego Arsena Lupin i każdy cieszył się naprzód z konceptów, jakich on sprobóje wobec prezydenta sądu. Adwokaci, urzędnicy sądowi, dziennikarze, reporterzy, artyści i kobiety wyższego świata, ten tak zwany „cały Paryż“ cisnął się na ławki audytoryalne.

Deszcz padał, dzień był pochmurny i nie można było dokładnie widzieć twarzy Arsena Lupin, kiedy go straż więzienna wprowadziła na salę. Wszakże chód jego ociężały, osunięcie się na ławkę, obojętna i bierna nieruchliwość niekorzystnie usposobiły widzów.

Po kilka razy adwokat jego — jeden z sekretarzy pana Danval, bo właściwy adwokat Lupina został usunięty jako mniej zdolny — po kilka razy zwracał się do więźnia z pytaniami. Lecz ten skinął tylko głową i milczał.

Sekretarz sądu odczytał akt oskarżenia, poczem prezydent zaczął:

— Oskarżony, proszę wstać. Imię, nazwisko, wiek i zajęcie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi powtórzył więc znowu;

— Pańskie imię? Pytam o imię pańskie?

Gruby, zmęczony głos odpowiedział zwolna:

— Baudru, Dezyderyusz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po katastrofie pod Echterdingen.

Naoczny świadek katastrofy pod Echterdingen opowiada, że przyczyną główną zniszczenia balonu było niezbyt skrupulatne czuwanie wojska, przydzielonego hr. Zeppelinowi, a zajętego przytrzymywaniem gondoli i sznurów balonu. Choć zbliżanie się huraganu można było już z dala obserwować, żołnierze, zajęci czem innem, prawdopodobnie rozmową lub rozglądaniem się po okolicy, dali się burzy zaskoczyć, jednak zupełnie stanowczo przypisywać temu katastrofy nie można, gdyż właśnie w krytycznej chwili nie było na miejscu żadnego fachowca, który mógłby był położenie jedynie trafnie osądzić.

Kto miał kiedykolwiek do czynienia z balonem, ten wie, że wypadek wyrwania się balonu z rąk trzymających go ludzi przydarza się najczęściej w czasie spokojnej aury, gdy skutkiem długotrwałego spoczynku, trzymający liny mniej uwagi zwracają na balon; wtedy lada silniejszy podmuch, który nagle nastanie, może wyrwać balon z rąk załogi, zajętej w części rozglądaniem się lub rozmową. W krytycznej chwili, ci, którzy sznury jeszcze w ręku trzymają, nie mogą balonu utrzymać, tamci zaś, którzy je już puścili, nie mają czasu, aby je rychło uchwycić, stąd też zdarza się nieraz, co i teraz miało miejsce, że wznoszący się w przestworze balon, porywa ze sobą i część trzymających sznury, którzy ich nie mieli czasu puścić. A właśnie szczególniej w czasie gorącego lata zdarzają się często po spokojnej ciszy w powietrzu takie gwałtowne wichry — z których jeden położył kres istnieniu zeppelinowskiego statku.

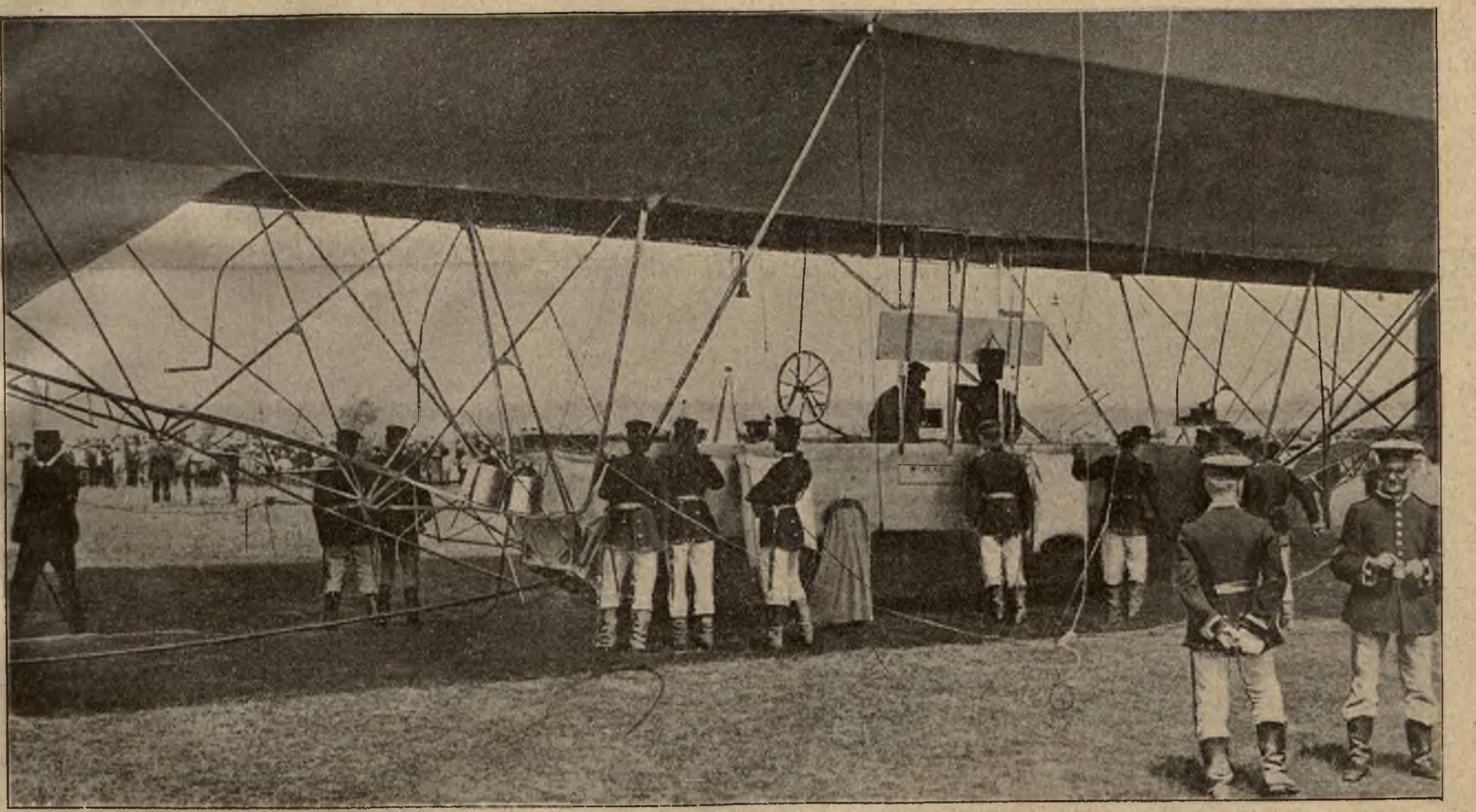
Dlatego też jest obowiązkiem doglądającego balon, być przedewszystkiem człowiekiem fachowo obeznanym z budową i właściwościami statku i baczyć pilnie, aby trzymający liny, pouczeni należycie o swym obowiązku, tych nigdy ze swych rąk nie wypuszczali. W tym wypadku zaszła właśnie ta okoliczność, że po odjeździe hr. Zeppelina, który tymczasem napawał się hołdami, jakie mu rodacy składali, nie zostawiono przy balonie nikogo fachowego, a żołnierzom również z tego zarzutu czynić nie można, że nie pilnowali należycie, gdyż nigdy dotąd nie mieli z balonami do czynienia, zupełnie jakby ktoś naszemu Wojtkowi lub Kasprowi z pod Wieliczki kazał obsługiwać balon.

Jest bardzo prawdopodobnem, że zbliżanie się gwałtownego wiatru można było w danym wypadku już z daleka zauważyć, że dostateczna ilość lin, przytwierdzonych do balonu, a trzymanych silnie przez wojsko, mogła balon uchronić od porwania przez wiatr, ale czyby to było przeszkodziło eksplozyi, jaka nastąpiła, tego stanowczo twierdzić nie można.

Faktem jest, że katastrofa miała miejsce, ale co było jej bezpośrednią przyczyną, to zdaje się zostanie i nadal tajemnicą — będzie jednak ten wypadek nauką i ostrzeżeniem dla aeronautów, że nie powinni nigdy, choćby byli jak najlepiej sami obeznani ze swymi statkami, zostawiać ich na łaskę Opatrzności, bez dozoru fachowego, odpowiedzialnego dozorcy.

Nie można także z powodu zaszłej katastrofy uważać balonów sztywnych, do jakich właśnie należy balon Zeppelina, za mniej warte od półsztywnych lub zupełnie wiotkich, gdyż jak wiadomo francuski balon „Patrie“ był balonem wiotkim i posiadał przyrząd do szybkiego wypuszczania gazów, a przecież uległ także porwaniu przez wiatr. Także i małe, kuliste balony często ulegają podobnym wypadkom, jużto podczas napełniania, już też później, choć przecież na nich znajduje się zawsze człowiek, który obeznany dokładnie z manipulacyą przy balonach, każdej chwili może wypuścić gaz i w ten sposób przeszkodzić porwaniu przez wiatr.

Ryciny nasze przedstawiają balon przed katastrofą, gdy w gondoli znajduje się młody hr. Zeppelin, kuzyn wynalazcy wraz z nadinżynierem Dürrem — oraz szczątki balonu, jakie pozostały w postaci pogiętych i częściowo stopionych sztab żelaznych, otoczone tłumami ciekawych, opłakujących wraz z Zeppelinem smutny koniec pruskiej pyszałkowatości.



Po katastrofie pod Echterdingeen: Kuzyn wynalazcy hr. Zeppelina z nadinżynierem Dürrem w gondoli balonu.



Po katastrofie pod Echterdingen: Szczątki spalonego balonu.

Z ŻYCIA DNIA

(Zaratustra austryacki. — Nowa szkoła ze starym duchem. — »Serdeczny stosunek uczniów do pezyi«. — Szablon pedagogiczny. — Niemiec i Anglik. — Niemiec na obczyźnie. — Dr. Wekerle »pour le roi de Prusse«).

Zaratustra austryacki powiedział: „Trzeba zreformować szkoły średnie“ — więc minister oświaty zwołał ankietę i przedłożył jej w tej sprawie kwestyonaryusz czyli arkusz z pytaniami. Oczywiście pytania ułożyli urzędnicy ministerstwa i z góry wykluczyli wszystko, co mogłoby w ich mniemaniu zagrozić „austryackiemu charakterowi“ szkół średnich. Załatwiwszy w taki sposób stronę rzeczową reformy, postarano się w Wiedniu także o to, ażeby jakieś niepowołane osoby nie weszły do ankiety i nie zamąciły obrad, z góry wytyczonych.

Minister oświaty, człowiek liberalny i europejski w pojęciu Wiedeńczyków i wodzącej ich za nos prasy pseudoliberalnej, powołał do owej ankiety ludzi, którzy wygłaszali sążniste i wielce naukowe tyrady pedagogiczne, ale wygadawszy się, byli zupełnie zadowoleni i o wynik ankiety już wcale się nie troszczyli. Zasiadało wprawdzie w ankiecie kilku rewolucyonistów — oczywiście znowu wedle mniemania Wiedeńczyków — ale rewolucyjność ich była wcale skromna, uwagi zaś, przez nich rzucone, stały się niewidzialnemi oczkami na chudej zupie pedagogicznej.

Ani parlamentu, ani tem bardziej sejmów nie pytano o zdanie. Austryacka Izba posłów zajmowała się takiemi naprzykład interpelacyami: „czy wiadomo c. k. wysokiemu rządowi, że urzędnik czeski w Podmokłem wysłał do Chebu paczkę listów pod sygnaturą czeską“ — ale jakie niedorzeczności wysoki c. k. rząd pakuje do głów młodzieży szkół średnich, o to parlament austryacki wcale się nie troszczy. Albowiem ten parlament wyszedł z powszechnych wyborów i przybrał efektowną nazwę ludowego. Zresztą co do parlamentu, to powiedzmy sobie zgodnie z prawdą, że nadają mu ton Niemcy, a minister oświaty postarał się o to, ażeby w reformie szkół średnich interes Niemców był górą.

Sejmy znowu zajmować się muszą tak doniosłemi sprawami, jak naprzykład ustawa, pozwalająca tej lub owej gminie na pobór kopytkowego, albo na zaprowadzenie opłaty od psów, ale nie wolno im wywierać rzeczywistego wpływu na wychowywanie kilkuset tysięcy uczniów szkół średnich. Sejm uchwalić może i uchwala rezolucye i „wezwania do c. k. rządu“ w tej sprawie, ale rezolucye i wezwania owe, pierwszy lepszy urzędnik wrzuca do kosza.

Ankieta szkolna wygadała się tedy, minister podziękował jej członkom za usilną pracę i światłe uwagi, przyrzekając, że je uwzględni, poczem urzędnicy zasiedli przy swoich biurkach i zaczęli reformować szkoły wedle wskazówek, już od dawna otrzymanych. I oto przed kilku dniami ogłosiły dzienniki, że ministerstwo oświaty wypracowało plan nauki dla nowego typu szkoły średniej, dla tak zwanego „ośmioklasowego gimnazyum realnego“. Dokładne szczegóły tego planu ogłosi dopiero później urzędowa gazeta *Wiener Zeitung*, tymczasem najważniejsze zmiany i nowości ogłosiła prasa wiedeńska.

Odczytałem ów plan i przedewszystkiem spostrzegłem, że niema w nim żadnych zmian, ani nowości w wykładzie języka macierzystego. Rzecz prosta: co zależy niemieckiemu urzędnikowi w ministerstwie oświaty na języku polskim lub czeskim? Ale zato z jakiem zamiłowaniem, z jaką pieczołowitością zajmuje się plan nauką języka niemieckiego. Co za troskliwość, ażeby uczeń polski, czeski, lub chorwacki umiał dobrze władać językiem niemieckim w mowie lub piśmie. Co za troskliwość drobiazgowa, ażeby „lektura, ułożona w związku historycznym“ rozpoczynała się już w klasie piątej. Co za troskliwość dalej, ażeby w przyszłości szkolne podręczniki uwzględniały także „prozę poetycką, to jest nowellę i powieść“. A koroną tej troskliwości jest wskazówka, zupełnie trafna w odniesieniu do języka macierzystego, że „n a j p i ę k n i e j s z e m z a d a n i e m z a j m o w a n i a s i ę l i t e r a t u r ą j e s t w y t w o r z e n i e s z c z e r e g o, g o r ą c e g o, o s o b i s t e g o s t o s u n k u u c z n i a d o d z i e ł p o e t y c k i c h“.

Jakież to trafne, jakie trafne!... Tylko widzicie moi łaskawi panowie z ministerstwa oświaty, gorącego, osobistego stosunku ucznia do dzieł poetyckich niemieckich nie można wmówić w młodzież ani polską, ani czeską, ani dajmy na to chorwacką. Zwłaszcza w polską i zwłaszcza dzisiaj. Niemcy są niestrawni dla starszych, a dla młodzieży wprost wstrętni. A zresztą szczery, gorący, osobisty stosunek ucznia do dzieł poetyckich może istnieć tylko na niwie literatury ojczystej. Panowie z ministerstwa oświaty powinniby sobie przypomnieć, jak to w Galicyi, gdy w szkołach i urzędach panowała wszechwładnie niemczyzna, młodzież po nocach czytała z zapałem przepisywane utwory poetów polskich. Nauczyciele niemieccy szafowali z tego powodu karami, a mimo, a raczej dlatego właśnie „wytwarzał się szczery, gorący, osobisty stosunek ucznia do dzieł poetyckich“.

Mówiąc krótko, potrzeba nam szkoły narodowej, a nie wspólnego szablonu, wypracowanego w Wiedniu dla Niemców i Włochów, dla Rusinów i Polaków.

A wykład historyi w tej nowej szkole zreformowanej jest takim samym szablonem, wypracowanym przez Niemców dla różnojęzycznej Austryi. Pojmujemy, że ministerstwo oświaty żąda, ażeby w szkołach państwowych wykładano obszerniej dzieje państwa austryackiego, ale chyba rozsądek wymaga, ażeby uczeń poznał się przedewszystkiem z dziejami własnej ojczyzny. I tutaj znowu polityczny zamiar twórców planu naukowego chybił w zupełności.

Przecież ten uczeń polski musi lgnąć do dziejów swojego narodu, a widząc, że dzieje te są po macoszemu traktowane, przez to samo uczuwać musi odrazę do rzeczy narzuconych mu przepisami i koniecznością. Dlatego też cała reforma szkolna poza zdobyczami ogólnej wartości nie przynosi nam pożądanych i wyczekiwanych przez społeczeństwo owoców.

Pogadajmy jeszcze o Niemcach na podstawie ich własnych źródeł. W jednym z dzienników berlińskich znalazłem w korespondencyi z Johannesbergu w Afryce południowej ciekawą rozmowę Anglika z Niemcem na tle ich usposobień narodowych.

— Niemiecki idealizm? — mówił Anglik do Niemca. Istniał może w dawnych latach, ale dzisiejszy Niemiec nie jest idealistą. Spoglądnijcie tylko na wasz naród z jego hałaśliwemi i brzydkiemi formami życia, z jego lekceważeniem wszelkiej estetyki w zewnętrznych objawach, z epikurejską żądzą użycia w jedzeniu i piciu, wogóle używania materyalnego. Czy dzisiaj nawet Jankes tak goni za pieniądzem jak Niemiec? Gdzież tu jest idealizm? Przeciwnie sądzę, że Niemcy stają się ludźmi, lubiącymi tylko interes i użycie.

Na ten zarzut odpowiedział Niemiec, jakoby Anglicy nie znali idealnej miłości ojczyzny, jakoby tylko posiadali dumne poczucie przynależności do silnej rasy i światowego państwa, jakoby ich przywiązanie do tego, co w Albionie nazywa się *the old country*, miało tylko cechę polityczną.

„My — wołał Niemiec — kochaliśmy ojczyznę, gdy była słaba i rozkawałkowana, równie gorąco, jak ją kochamy teraz, gdy ze spokojną samowiedzą spogląda na ubieganie się innych narodów“.

— Właśnie wasza samowiedza nie jest spokojna — odparł Anglik. Jest krzykliwa, a takby nie było, gdybyście jeszcze byli rozmarzonymi idealistami. Miało tak być przed setkami lat, ale nie dzisiaj.

Dalszy ciąg korespondencyi, poświęcony dowodom, że Niemcy są idealistami, opuszczam, zaznaczając tylko, że Anglik miał zupełną słuszność. Uzasadnianie tego sądu jest chyba dla nas zupełnie zbytecznem. A co do „krzykliwej samowiedzy“, to pochodzi ona nietylko z braku idealizmu, ale także i to przeważnie ze świadomości, że ludom i państwom przejadła się już buta niemiecka. Okazując w sposób hałaśliwy samowiedzę swojej siły, Niemcy sądzą, że zdołają zastraszyć Europę i narzucić jej swoją wolę.

Jeszcze jedno: w korespondencyi owej podnosi jej autor, że Niemiec na obczyźnie, nawet gdy zapomni na pół swojego języka, jeszcze tęskni za ojczyzną — nawet przez całe generacye. Czy tak jest — wątpię, ale co nie ulega żadnej wątpliwości to fakt, że Niemiec na obczyźnie zawsze staje po stronie silnych przeciwko słabszym, a nawet zupełnie bezbronnym.

Jeden z wielu przykładów daje obecnie pod tym względem dr. Wekerle, syn kolonisty niemieckiego, który podobno wcale, albo niewiele umiał po węgiersku. Dr. Wekerle, typowy z wyglądu Niemiec, jako prezydent gabinetu węgierskiego, uciska narodowości niemadziarskie z równą zaciekłością, jak najzagorzalszy szowinista węgierski, tylko z większą przebiegłością. Ma to już widocznie we krwi, jako wrodzony instynkt. Klasycznym dowodem jest sprawa rzekomego spisku wielko-serbskiego, wykrytego właśnie teraz, gdy rząd węgierski radby się wywinąć od zaprowadzenia powszechnego prawa głosowania, którego domaga się stanowczo korona.

Powszechne i równe prawo głosowania wyszłoby narodowościom niemadziarskim, a więc przedewszystkiem Słowianom na korzyść, dając im odpowiednią reprezentacyę parlamentarną. Ażeby tej klęski uniknąć, rząd węgierski postanowił skompromitować Słowian wobec korony i w ten sposób nakłonić ją do ustępstw na rzecz narodowości węgierskiej.

Za pomocą niejakiego Nasticza, agenta prowokacyjnego, rząd węgierski stworzył spisek wielkoserbski, do którego Nasticz wciągnął kilkudziesięciu ludzi nieoględnych, a potem ich zdradził. Spisek miał na celu wywołanie powstania zbrojnego pośród Serbów, Chorwatów i mieszkańców Bośni, celem utworzenia państwa południowo-słowiańskiego.

Nasticz zrobił swoje, wykonał dzieło judaszowskie i otrzyma za nie swoje srebrniki — teraz rząd węgierski robi swoje. Za pomocą prasy węgierskiej, a zwłaszcza niemieckiej, rozgłosił po całym świecie wiadomości o tym spisku, następnie rozpoczął aresztować podejrzanych, a wreszcie przystąpi do procesu. Oczywiście proces wykryje istnienie spisku, a rząd węgierski będzie zacierać ręce. Byle tylko nie przedwcześnie. Bo najpierw nasuwa się pytanie, czy korona uwierzy w realną grozę tego spisku, następnie zaś wątpliwość, azali korona, uwierzywszy nawet w ową grozę, spełni żądania Węgrów.

Wszakże korona może sobie powiedzieć: „Jeżeli Słowianie na Węgrzech tak są niezadowoleni z obecnego stanu rzeczy, że uciekają się aż do spisku, mającego na celu oderwanie się Słowian owych od państwa austryacko-węgierskiego, to trzeba owo niezadowolenie usunąć właśnie przez zaprowadzenie powszechnego i co ważniejsze równego prawa wyborczego do sejmu węgierskiego.“ Dr. Wekerle może się przeliczyć gruntownie.

To nie zmniejszyłoby jego „zasług“ wobec Węgrów, a zwłaszcza nie podałoby w wątpliwość jego „dobrych chęci“ wobec Słowian. Gnębiąc na Węgrzech Słowian, więcej może myśli o przysłużeniu się Niemcom niż Węgrom. Rada w Oedenburgu może sobie urzędować po niemiecku. To Węgrom wcale nie przeszkadza, ale Słowianie, żyjący od wieków na własnej ziemi, to co innego. Ci są niebezpieczni dla szowinistycznych krótkowidzów węgierskich.

W roku 1866 Bismarck namawiał Węgrów do powstania przeciw Austryi, dzisiaj Niemcy pomagają Węgrom w gnębieniu Słowian. Wekerle wie, że to robota w znacznej mierze *pour le roi de Prusse*, ale może ta właśnie robota jest mu sympatyczna.

h. j—e.

Zamordowanie żandarma.

W krótkim stosunkowo czasie, po raz drugi wydarzył się w kraju naszym wypadek zamordowania żandarma, pełniącego służbę. Jeszcze nie przebrzmiało echo takiego wypadku w Bierzanowie koło Krakowa, a już doniosły dzienniki, iż



Zamordowanie żandarma: Śp. Aleksander Słaby.

w Sokolnikach pod Lwowem zginął w zupełnie analogiczny sposób komendant posterunku żandarmeryi Aleksander Słaby.

Sokolniki, duża wieś polska pod Lwowem, w ostatnich czasach dawały niejednokrotnie powód do skarg i narzekań, młodsze pokolenie bowiem mieszkańców odznacza się gwałtownością charakteru, lubuje się w pijatykach i bójkach, tak iż spory [illegible]m na porządku dziennym.

Wśród sokolnickich awanturników jedno z najwybitniejszych miejsc zajmował 17-letni Romuald Piwko, syn wójta sokolnickiego, człowieka poważanego i bardzo inteligentnego. Mimo surowych napomnień ojca, młody Piwko oddawał się nałogowi pijaństwa i stale wyprawiał we wsi awantury, kończące się bardzo często rozlewem krwi. A charakterystyczne jest, iż przeważna część „rycerzy“ sokolnickich była uzbrojona w rewolwery, to też odgłos strzałów niejednokrotnie alarmował mieszkańców wsi.

Przed paru dniami przyszło w Sokolnikach znowu do burzliwego zajścia, a między uczestnikami nie brakło i młodego Piwki. Bawił on w karczmie w gronie paru znajomych. Do karczmy wszedł podczas tej „zabawy“ wachmistrz Słaby, a gdy podpici parobczacy obrzucili go wyzwiskami i obelgami, wezwał ich do spokoju, grożąc aresztowaniem w razie ponowienia się krzyków. Młodzi awanturnicy nietylko się nie uspokoili, ale przeciwnie, jeszcze głośniej objawiali swe humory, a gdy żandarm Słaby wyszedł na dziedziniec, Piwko rzucił się za nim z rewolwerem w ręku i dał do niego dwa strzały, z których jeden był śmiertelny.

Spełniwszy straszny czyn, Piwko ulotnił się, rannym żandarmem zaś zaopiekowali się poważniejsi gospodarze z Sokolnik, a ponieważ rana była groźna, odwieziono go do szpitala garnizonowego we Lwowie. Pomoc lekarska była jednak bezskuteczna i wachmistrz Słaby zmarł po kilkunastugodzinach mąk.

Sprawcę jego śmierci oddał w ręce sprawiedliwości własny ojciec, zgnębiony niepoprawnem postępowaniem syna i ostatnim jego strasznym czynem.



Z konstytucyjnej Turcyi: Przywódca ruchu młodotureckiego w Macedonii, generał Enver Bey, najpopularniejszy z Młodoturków.
(Do artykułu na stronie 10).

Wyścigi kolarskie w Warszawie.

Najważniejszym wypadkiem sportowym ostanich dni w Warszawie były dwudniowe wyścigi kolarskie na torze na Dynasach w dniach 15 i 16 b. m., urządzone staraniem warszawskiego towarzystwa cyklistów. Prócz grona najwybitniejszych wyścigowców warszawskich, przybyli celem wzięcia udziału w zapasach także cykliści z zagranicy, między tymi kilku bardzo dobrych.

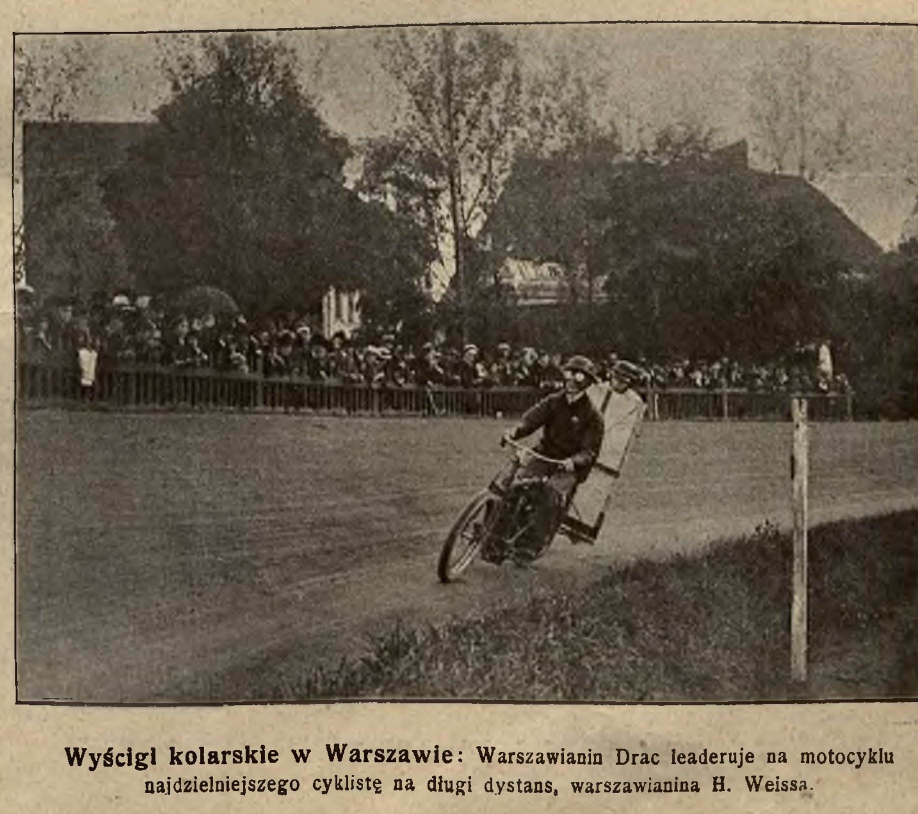
Współudział gości z zagranicy ożywił w znacznej mierze zainteresowanie biegami, z drugiej jednak strony ulewa, która przez kilkanaście godzin nie ustała ani na chwilę, aż do samych wyścigów, spowodowała tak silne rozmięknienie toru, iż jeźdzcy zwłaszcza obcy nie mogli uwydatnić swych zalet. Najgorzej odczuli miękkość toru motorzyści, których maszyny ciężkie grzęzły wprost w rozmokłym gruncie.

Publiczność mimo niepewnej pogody stawiła się bardzo licznie i z zajęciem śledziła przebieg wyścigów, oklaskując z zapałem najtęższych jeźdźców. A było ich kilku pierwszorzędnych, w szczególności Jan Nedela z Pragi, E. Doerflingée z Paryża, Willy Bader z Lotaryngii, Aron Spain, murzyn z Chicago, a z warszawskich H. p. Weiss.

Najbardziej interesujące były biegi na rowe-



Z konstytucyjnej Turcyi: Przywódcy band Sandański i Panica, mordercy Sarafowa.
(Do artykułu na stronie 10).

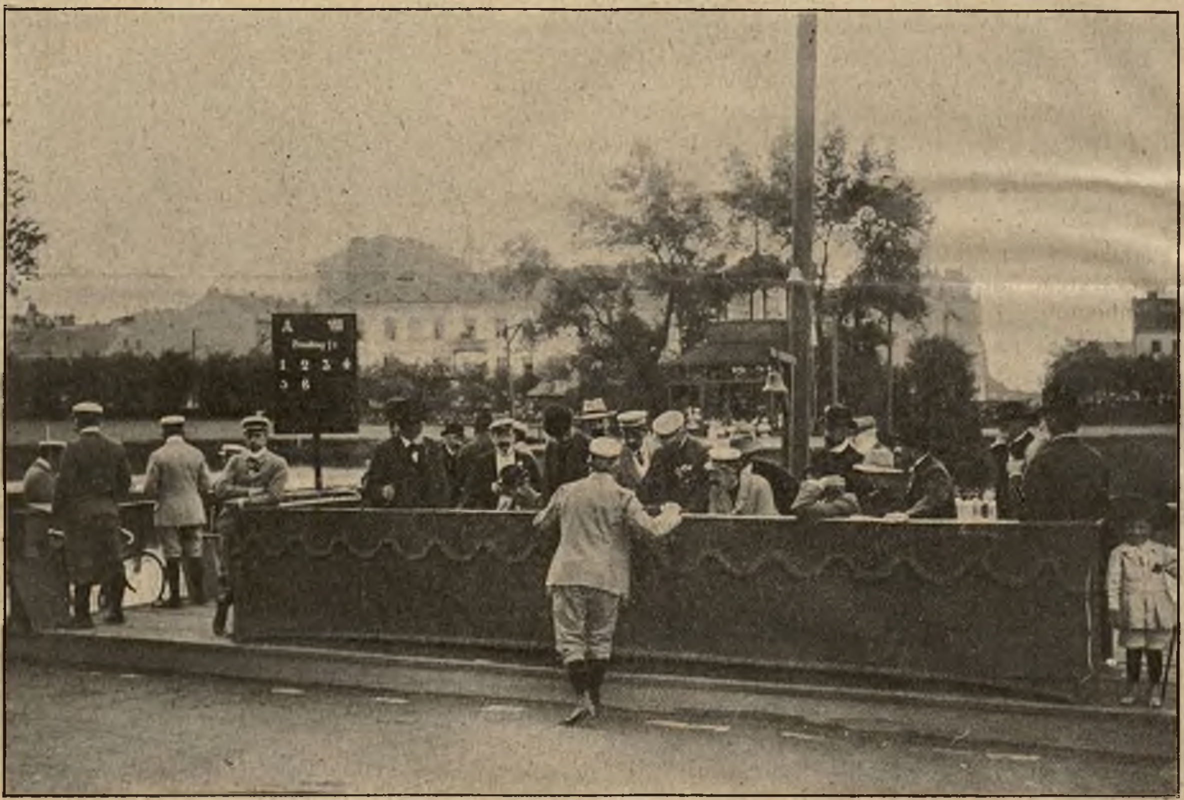


Wyścigi kolarskie w Warszawie: Warszawianin Drac leaderuje na motocyklu najdzielniejszego cyklistę na długi dystans, warszawianina H. Weissa.

rach. Tu [zwy]ciężali kolejno goście z poza Warszawy, głó[w]nie paryski cyklista Doerflingée, choć i Nedela z Pragi przybył parokrotnie pierwszy do mety, pobijając Doerflingée'a. Warszawscy cykliści nie mogli sprostać wytrawnym i wytrenowanym doskonale zawodowcom zagranicznym.

Natomiast w wyścigach z prowadzeniem motorów, najlepszym okazał się stanowczo Warszawianin p. Weiss, prowadzony przez świetnego motorzystę A. Draca. Niestety wskutek wypadku, mianowicie zepsucia się maszyny w decydującym biegu, pierwsza nagroda przypadła innemu jeździcowi.

Nie zupełnie udały się także wyścigi motorzystów, a to z powodu grząskiego gruntu. Najsilniejsza ale i najcięższa maszyna G. Weissa z Bazylei, stale pozostawała, w tyle. Bardzo dobrymi motorzystami okazali się Warszawiacy pp. Piotrowski i Drac.



Wyścigi kolarskie w Warszawie: Trybuna prezydyum i sędziów.

Wielka wycieczka w Krakowie.

Począwszy od maja od pierwszych dni cieplejszych i słonecznych, zdążają do Krakowa z rozmaitych stron Polski, przeważnie z Galicyi, tłumne wycieczki ludności wiejskiej, by tu u stóp prastarego grodu królów polskich, wśród murów dawnej stolicy Piastowych dziedzin, spędzić chwil kilka, napoić ducha wspomnieniami minionej a świetnej przeszłości i z pokrzepionym umysłem wrócić do dalszej pracy.

W okresie tym przybywają też wycieczki z innych krajów, nawet bardzo odległych, nie brak bowiem wśród nich nawet gości z Ameryki. Przed kilkunastu dniami bawiło też grono Francuzów, poprzednio zaś byli w Krakowie Szwedzi, Norwegowie i Duńczycy.

Z pośród mnóstwa wycieczek, jakie w ostatnich tygodniach przesunęły się przez Kraków, uwagę zwróciła wycieczka, urządzona przez „Czytelnię kolejową“ w Stryju. Wzięli w niej udział przeważnie włościanie z okolic Stryja, Drohobycza, Sambora, Komarna, Przemyśla, Przeworska, Łańcuta, Rzeszowa i Trzciany, razem przeszło 1600 osób.

Cel wycieczki był religijno narodowy i został w zupełności osiągnięty. Udano się naprzód do Kalwaryi Zebrzydowskiej, na uroczystości odpustowe, a stamtąd do Krakowa, celem zwiedzenia pamiątek narodowych. Na czele wycieczki stał ks. Franciszek Wójcik, który z niestrudzonym zapałem oprowadzał włościan po skarbnicy historycznych zabytków. Dzięki temu też włościanie wrócili do miejsc rodzinnych podniesieni na duchu i z wrażeniami jak najpiękniejszemi.

Do powodzenia wycieczki przyczynił się w znacznej mierze prezes „Czytelni kolejowej“, p. Tadeusz Ilnicki, naczelnik ogrzewalni kolejowej w Stryju, który od szeregu lat pracuje wytrwale nad podniesieniem towarzystwa i skupieniem około niego jaknajwiększej ilości kolejarzy. Jego usiłowaniom zawdzięcza „Czytelnia“ stryjska własny, piękny i okazały budynek.

Wycieczce towarzyszyła też włościańska kapela amatorska z Komarna, ze swym założycielem i dyrygentem ks. Ludwikiem Witkiewiczem, dzielnym kapłanem.

Zdjęcie fotograficzne, przedstawiające uczestników wycieczki „Czytelni kolejowej“ ze Stryja, zebranych u stóp katedry na Wawelu, zamieszczamy w dzisiejszym numerze. W pośrodku widać przewodników i kierowników wycieczki, oraz kapelę włościańską z Komarna.

Przedpotopowe olbrzymy.

Muzeum imienia Dzieduszyckich we Lwowie wzbogaciło się cennymi nabytkami, jakimi nie każde muzeum poszczycić się może, mianowicie kompletnym szkieletem mamuta i częściami ciała nosorożca dyluwialnego, które, jak już donosiliśmy w ubiegłym roku, wykopano w Staru[ni] w powiecie bohorodczańskim w tamtejszej ko[palni] wosku ziemnego, hamburskiej firmy Ju[liusz] Campe i Spółka.

Dzięki obywatelskiemu poczuciu i wspaniało-



(Aparatem red. W. Lis.)

Wielka wycieczka w Krakowie: Uczestnicy wielkiej wycieczki włościańskiej, urządzonej przez »Czytelnię kolejową« w Stryju, z orkiestrą włościańską i kierownikami w pośrodku, przed katedrą na Wawelu.

myślności kierownika staruńskiej kopalni, pana A. Krigla, zabytki te pozostały w kraju.

Kościec mamuta całkowicie złożony i ustawiony na żelaznem rusztowaniu zajmuje już środek jednej z największych sal muzealnych, obok zaś rozpięty jest ogromny płat jego skóry. Żałować tylko wypada, że przy wydobywaniu szkieletu z kopalni uszkodzono część kości, z poszarpanych zaś kawałków, co lepsze, powykrawywali robotnicy na swój użytek.

Do paru miesięcy ustawiony będzie drugi potwór, nosorożec dyluwialny, wydobyty dotąd tylko częściowo, ale o wiele lepiej od tamtego zachowany, gdyż cały łeb i znaczna część cielska przetrwały w ziemi w zupełnie nienaruszonym stanie. Brakująca reszta pozostała niezawodnie w ziemi, w najbliższem sąsiedztwie szybu, mianowicie w jego bocznych ścianach, których na razie nie przebito, gdyż szyb, będąc własnością prywatnego przedsiębiorcy, musi przedewszystkiem funkcyonować jako kopalnia wosku ziemnego.

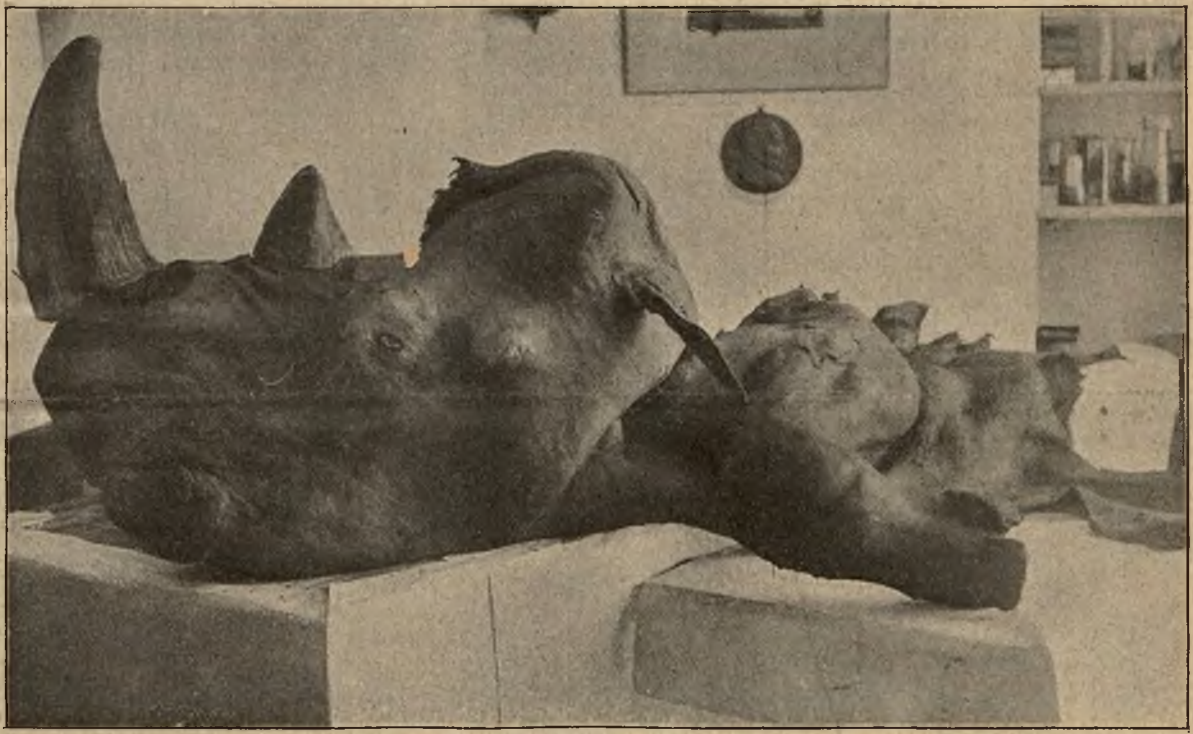
Galicyjskie instytucye naukowe zajęły się gorliwie poszukiwaniami, zarząd zaś kopalni z iście obywatelską uczynnością ułatwia wszystko ze swej strony. W sąsiedztwie szybu, w którym znaleziono oba potwory, ma być wybity nowy szyb, z którego sztolniami dotrzećby można do miejsca, gdzie spodziewać się należy pozostałej części nosorożca.

Przy tej sposobności będzie można zbadać dokładniej iły dyluwialne, w których mogą się znaleść jeszcze inne szczątki ówczesnej fauny i flory, a może nawet, jak przypuszcza zasłużony kustosz muzeum Dzieduszyckich, radca Łomnicki, i zabytki człowieka przedhistorycznego, na co wskazują pewne ślady, znalezione w tym samym szybie np. nadpalony kawał drzewa i pręt, odcięty na jednym końcu jakiemś dość tępem narzędziem.

Kościec mamuta waży 670 klgr.

W iłach, z których wydobyto oba przedpotopowe olbrzymy, znaleziono także ogromną ilość znakomicie zakonserwowanych szczątków współczesnej flory drzewnej, złożonej z mnóstwa liści i owoców rozmaitych roślin, tudzież łodyg roślin bagiennych wraz z odłamami pni, gałęzi i konarów, nadto liczne okazy fauny dyluwialnej, złożone przeważnie z owadów i mięczaków tak lądowych jak wodnych. Wydobyto nawet szczątki jakiegoś nieznanego ptaka, zachowane stosunkowo bardzo dobrze wraz ze skórą. Dla nauki polskiej jest to zdobycz pierwszorzędnej wartości a mamut wykopany słusznie nazywany bywa „polskim", gdyż na ziemiach polskich jest rzeczywiście pierwszym odnalezionym w całości.

Odkopanie go, a zwłaszcza pozyskanie dla pięknych i bogatych zbiorów muzeum imienia Dzieduszyckich we Lwowie jest wypadkiem doniosłym i przyczyni się niewątpliwie do posunięcia naprzód badań przyrodniczych. Także młodzież ucząca się odniesie stąd niemałą korzyść i będzie mogła wyrobić sobie należyte pojęcie o wyglądzie i rozmiarach przedpotopowych olbrzymów, o których niejednokrotnie słyszy na lekcyach z ust nauczycieli.



Fot. M. Münz, Lwów.

Przedpotopowe olbrzymy: Szczątki dyluwialnego nosorożca ze Staruni w muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.



Fot. M. Münz, Lwów.

Przedpotopowe olbrzymy: Szkielet mamuta ze Staruni w muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.



Zgon włoskiego męża stanu: Zmarły minister prezydent Antonio di Rudini.

(Do artykułu na stronie 4).

Podajemy czytelnikom illustracye, przedstawiające ustawiony kościec mamuta, oraz łeb i część cielska nosorożca, przywiezione obecnie do muzeum Dzieduszyckich we Lwowie.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

7 Ciąg dalszy.

Teraz zaś nikogo z nami niema, tamci bowiem, niecierpliwiąc się, poszli do kawiarni. Jeżeli pan komisarz zgodzi się obecnie na moją prośbę, będzie im pan mógł odpowiedzieć potem, gdy się będą żalili, że ja zostałem wyróżnionym: „trzeba było być tam“. Zresztą rzecz widziana jaśniej się przedstawia, niż opowiedziana. Choćbym był przy zwłokach jedną tylko minutę, będę mógł dać daleko żywszy opis faktu, niż znając go jedynie ze słyszenia...

— Chodźmy więc, kiedy tak bardzo panu na tem zależy. Wejdziemy tylko na chwilę i zaraz wyjdziemy, ale przynajmniej sam pan wszystko zobaczy.

— Niczego więcej nie pragnę.

Weszli do domu. Kurytarz, przez który Coche w nocy przechodził po omacku, wydał mu się obecnie bardzo szerokim. Zamiast spodziewanego zaniedbania wszystko w domu tym jaśniało czystością i świeżością. Po przejściu schodów rozpoznał odrazu drzwi sypialnego pokoju i bezwiednie zatrzymał się przed niemi. Natychmiast jednak pożałował tego, myśląc, iż gdyby był komisarzem, spostrzegłby to i wyprowadził odpowiednie wnioski. Nie miał jednak czasu zastanawiać się dłużej, gdyż otwarto drzwi, przez które weszli do środka.

Powrót do pokoju, w którym przebył tak straszne chwile, silnie na niego podziałał. W przeciągu jednej chwili żałował swego wczorajszego projektu i obecnej ciekawości, która go tutaj przywiodła teraz. Mimowoli zdjął kapelusz z głowy. Rzecz dziwna: wczoraj nie obawiał się zbierać papierów porozrzucanych, składać zakrwawionej bielizny, dotykać się nawet trupa, wówczas, gdy wszystko było dla niego niebezpieczeństwem, gdy nie znając ani miejsca, ani osób, ryzykował swe życie; obecnie na widok trupa zadrżał cały i poddał się jakiemuś nieokreślonemu, nagłemu strachowi.

— Niechże się więc pan przygląda — odezwał się komisarz — proszę tylko niczego nie dotykać, nic nie poruszać, nawet tego kawałka szkła, które ma pan koło nogi. W podobnych wypadkach najmniejsza drobnostka ma swoją wartość, jak naprzykład ten tutaj kawałek spinki od mankieta, który może jest bez znaczenia... zresztą kto wie...

Coche nie należał do tych, którzy pozostają długo pod ujemnem wrażeniem, mimowolna też uwaga komisarza o spince napełniła go żywą radością. To jednak uczucie zadowolenia nie trwało zbyt długo, rozproszyła je bowiem myśl, która bezwiednie mu się nasunęła. Gdyby ten komisarz był sprytniejszy, gdyby potrafił poznać się na rzeczach ważnych dla śledztwa, kto wie, czy Coche wyszedłby stąd wolny.

Komisarz tłómaczył przebieg zbrodni:

— Wszystko wskazuje, że walka trwała krótko, lecz była zaciekła... naprzykład ten stół odsunięty, to przewrócone krzesło, lub choćby zbite lustro... Niech się pan przypatrzy, czyż może być przeraźliwsza twarz zamordowanego; widnieje na niej wyryta cała scena morderstwa, odgadnąć ją można z odętych warg, z rozwartych oczu, czytam ją w tych konwulsyjnie skurczonych rękach... Jakież to straszne! Pewny jestem, że pan nie widział jeszcze czegoś podobnego.

— Owszem — odezwał się Coche takim tonem, jakby mówił sam ze sobą. Widziałem pewnego razu człowieka zamordowanego przed godziną, może nawet przed pół godziną. Ciało było zaledwie ostygłe, w oczach malowało się jakby wspomnienie życia. Leżał w kałuży krwi, ranę miał prawie taką samą jak ten, a jednak było w nim coś dziwnego. Temu przyglądam się obojętnie, jak masce pośmiertnej... Tu jest podobne wszystko do zwykłej śmierci... Pokój ten jest taki, jak wiele innych... podczas gdy się tamtemu... ongi przypatrywałem... doznawałem wrażenia, jakby w całej postaci pozostało tylko przerażenie... wyzierało ono z oczu, z niedomkniętych warg; w domu, cichym i spokojnym jak ten, czuć było wszędzie zbrodnię, roznosiła się woń krwi, gorącego, parującego ciała ludzkiego... Jutro, za tydzień zapomnę o tem, co widzę obecnie... tamto pamiętać będę zawsze, wszędzie i czuję, iż pozostanie to we mnie na zawsze...

Mówił głosem suchym, akcentując niektóre słowa; cała jego postać zdradzała jakieś nerwowe napięcie.

— To ciekawe... nigdy nie sądziłbym — rzekł komisarz. Chociaż przyzwyczajony jestem do podobnego rodzaju widowisk, przyznam się, że ten działa na mnie przygnębiająco... Czy w Paryżu widział pan tamtą śmierć?

— O nie, na prowincyi, będzie już temu dziesięć lat — odpowiedział Coche. I czując, iż w głosie jego dźwięczało kłamstwo, dodał, by zatrzeć wrażenie, wywołane swem poprzedniem opowiadaniem.

— Rozpoczynałem właśnie pracę dziennikarską w małej tamtejszej gazetce, w okolicach Lyonu... Zbrodnia ta nie wywołała większego echa, przypominam nawet sobie, iż nie pisano o niej w Paryżu.

W chwili tej odczuł na sobie wyraźnie wzrok tych trojga ludzi i doznał nagle tak silnego udręczenia moralnego, iż zachwiał się i ledwie zdołał oprzeć się o ścianę, by nie upaść.

— Zdaje mi się — rzekł komisarz — iż dosyć już pan napatrzył się. Lecz mając podobne wspomnienia, winien pan okazywać więcej odporności. Jest pan strasznie blady...

— Tak, czuję to... muszę być w istocie bardzo blady... zakręciło mi się w głowie, lecz to minie zaraz.

— Chodźmy stąd — odpowiedział komisarz, wskazując mu drogę, jednocześnie szepnął do ucha sekretarzowi: ci dziennikarze wszyscy jednacy, udają bohaterów, a w gruncie rzeczy to... — i nie dokończył już zdania.

Coche nie słyszał tych słów, lecz widząc jak komisarz mówi coś po cichu i spogląda w jego stronę, przekonany był, iż zdradził się swem opowiadaniem, a zwłaszcza przytaczaniem szczegółów i pomyślał:

— Już koniec... a w dodatku z własnej mojej winy.

Przechodząc przez pokój spojrzał do lustra i oczy jego zatrzymały się mimowoli w tem samem miejscu, w którem przyglądał się wczoraj; przekonał się, jak bardzo istotnie był blady, zwłaszcza, iż czarna obwódka, powstała ze zmęczenia, podkrążała mu oczy. Odwrócił się pospiesznie, by nie patrzeć dłużej na siebie i wyszedł z pokoju. Na ulicy dopiero zdołał opanować się; siadając do dorożki, uśmiechnął się lekko i odezwał:

— Rzeczywiście okazałem niezwykłą słabość; stałem się godny pożałowania... proszę mi to wybaczyć.

— Ot drobnostka, brak przyzwyczajenia.

Dorożka toczyła się szybko, podrzucając siedzących na wybojach ulicy. Milczeli obaj, pogrążeni w swych rozmyślaniach. Coche chciał wprawdzie wiedzieć, co myśli komisarz, co spostrzegł, co sądzi o tej sprawie, ze zbytniej jednak przezorności obawiał się pierwszy odezwać. Wreszcie uważając, iż milczenie jego może wydać się podejrzanem, zapytał:

— Jakiego zdania jest pan komisarz? czy to zwykłe morderstwo, popełnione dla kradzieży, czy też dopatruje się pan w niem jakich innych, niejasnych pobudek?...

— Jeżeli mam całą swą myśl wyrazić, odpowiem, iż kradzież odrzucam najzupełniej. Nie przeczę, że mogły zginąć przy tem różne cenne przedmioty, jestem nawet tego pewny, zrobiono to jednak tylko dla pozoru.

— To znaczy?

— To znaczy, że uczyniono to dla wprowadzenia w błąd policyi.

— O, do dyabła — pomyślał Coche — czym nie wpadł przypadkiem na jakiego nowego Sherlocka Holmesa. Głośno zaś dodał:

— Czyż tak? to bardzo ciekawe, przyznam się, iż nie przyszło mi do głowy takie podejrzenie. Wobec tego śledztwo komplikuje się...

— Dla niedoświadczonego — tak, lecz ja już od lat dwudziestu trzech mam do czynienia z takiemi sprawami i teraz jestem pewny, iż ktoś doskonale obznajomiony ze zwyczajami tego starca zakradł się do pokoju, by zabrać papiery, które mogły mu być pożyteczne, lub też, które go kompromitowały...

— Ach, tak — odezwał się Coche, udając niezwykłe zainteresowanie — papiery?... zwykłe dokumenty, pan sądzi?

— Jestem o tem przekonany. Znalazłem w szufladzie całe masy porozrzucanych listów, których z pewnością nie pozostawił tak ich właściciel. Zabójca, szukając między nimi potrzebnych dla siebie, poprzewracał wszystkie. Czy znalazł, czego chciał — o tem dowiemy się ze śledztwa, w tylko nie ulega wątpliwości, że dla zamaskowania istotnego celu swej wizyty, zabrał kilka drobiazgów, trochę pieniędzy i biżuteryi, jakie nasunęły mu się pod rękę. Mogę panu powiedzieć jeszcze i to, że znalazłem na ziemi pół spinki łańcuszkowej od mankietów, własność, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zamordowanego, choć mogła ona należeć i do mordercy... zresztą dowiemy się o tem później. Wogóle z oględzin pokoju wyniosłem to przekonanie, iż mordu tego dokonała osoba z wyższego świata, że musi ona posiadać spory zasób zimnej krwi i że działała sama. W tym całym nieładzie, jaki tam zastałem, widniał pewien ład, porządek, zamionujący właśnie taką osobę... Lecz ja już za dużo opowiedziałem panu, panie Coche...

Coche słuchał w milczeniu zwierzeń komisarza. Niepokój, jakiego doznawał na początku, ustąpił miejsca głębokiemu zadowoleniu. Wobec takich wyników śledztwa może być pewnym, iż zamiar swój zdoła doprowadzić do pożądanego celu. Gdy komisarz użył określenia: „dla wprowadzenia w błąd policyi“, Coche'owi zdawało się, iż cały jego podstęp został odgadnięty, teraz jednak widzi, iż policya nietylko nic nie odkryła, ale nawet wprowadziła swe poszukiwania na zupełnie błędne tory.

— Jeżeli pana dobrze zrozumiałem, to zabójca usiłował pozostawić po sobie takie ślady, aby sądzono, iż operowali tutaj zwykli zbrodniarze, dlatego też dopuścił się zwykłej kradzieży, a nawet starał się pozostawić po sobie umyślny nieład. Był sam, a pragnął wzbudzić podejrzenie, iż miał wspólników.

— Istotnie, takie moje zdanie.

Dorożka zatrzymała się przed bramą komisaryatu. Coche wysiadł pierwszy w doskonałym humorze, wszystko bowiem układało się według jego myśli. W przeciągu kilku godzin zebrał więcej wiadomości i usłyszał więcej błędnych zapatrywań na tę sprawę, niż potrzeba było do napisania kilku artykułów. Dziękował też komisarzowi nader uprzejmie:

— Teraz jestem już spokojny dzięki temu, co mi pan powiedział. Jestem nawzajem do pańskich usług, o ile tylko przydam się na co.

— Pan zapewne nie będzie wspominał w swym artykule o śladach w ogrodzie?...

— O nie, przecież one były prawie niedostrzegalne...

— Tak, tak. Ja także nic o nich nie wspomnę.

— A więc do widzenia panie komisarzu.

— Do widzenia, do pańskich usług!

IV.

Gdy Coche wchodził do kawiarni, do której poprzednio udali się dziennikarze, powitano go jednobrzmiącem zapytaniem:

— Nowiny?

— Sensacyjne — odpowiedział Coche, siadając pośrodku nich. — Zażądajcie papieru, atramentu i piszcie, potem każdy ułoży sobie na własny sposób. Rozmawiałem dość długo z komisarzem R. Udzielił mi wszelkich informacyi, z wyjątkiem jednej tylko, o którą zapomniałem zapytać, a mianowicie nazwiska zamordowanego.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Nadesłane.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności)

Głosy publiczne.

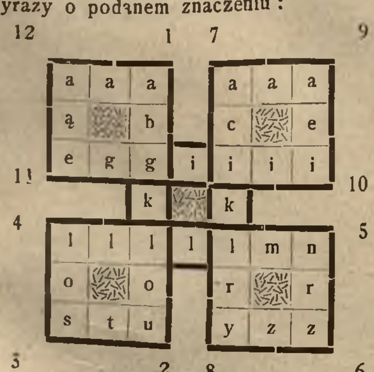
Odznaczenie wyrobów naszego przemysłu na wystawie w Wiedniu. We Wiedniu odbyła się w bieżącym miesiącu wielka wystawa przemysłu artykułów dla palących (Rauchindustrieausstellug). Na wystawie tej budziły powszechne zainteresowanie i uznanie hygieniczne tutki »ABA« z patentowanymi ochraniaczami wynalazku dra Sabata. Tutki te wystawiła fabryka tutek »ABA« firmy: Łoziński-Wiktor-Zoffal we Lwowie i uzyskała za nie najwyższe odznaczenie, mianowicie: dyplom honorowy i medal złoty. Należy nadmienić, że jest to już czwarte odznaczenie, jakie uzyskały tutki z hygienicznymi ochraniaczami w przeciągu roku.

Zagadki do nagrody.

Plecionka.

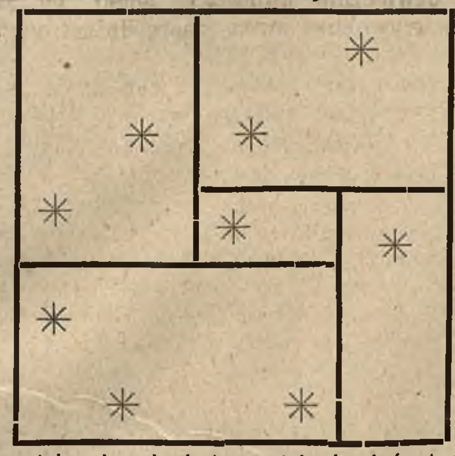
Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

Litery, wedle podanych wskazówek tak uporządkować, aby utworzyły wyrazy o podanem znaczeniu:



Znaczenie wyrazów: 1—2. Kraj w Austryi. 3—4. Starożytne podanie. 4—5. Dawna broń. 6—5. Wąż. 7—8. Zaraźliwa choroba u dzieci. 9—7. Kwiat hodowany we wazonach. 9—10. Ryba. 2—3. Rodzaj głosu. 8—9. Przyrząd do gryzienia. 11—10. Błazen. 11—12. Piwo angielskie. 12—1. Znana we fizyce jednostka pracy.

Zabawka mozajkowa

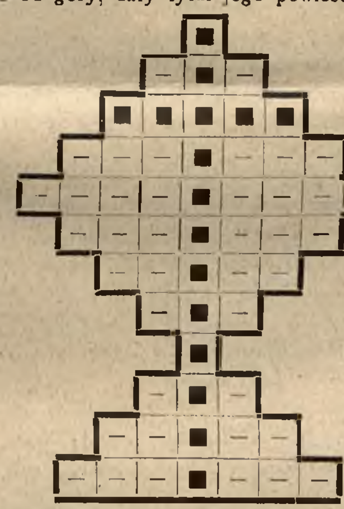


Z powyżej podanych pięciu prostokątów, które tworzą kwadrat, ułożyć inny kwadrat, tej samej wielkości, w którymby gwiazdki szły w kierunku jego przekątni.

Logogryf.

Ułożył Izydor Zirler z Rohatyna.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, tak, aby litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół w pionowym kierunku dały imię i nazwisko sławnego powieściopisarza polskiego, a czytane w poziomym kierunku w trzecim rzędzie od góry, dały tytuł jego powieści.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Okres czasu. 3. Powieść tegoż autora. 4. Miasto na Litwie. 5. Miasteczko na Syberyi. 6. Rzeka w Galicyi. 7. Współczesny poeta. 8. Zaimek. 9. Spółgłoska. 10. Lód, płynący rzeką. 11. Państwo w Europie. 12. Wyspa na morzu Śródziemnem.

Szarada.

Ułożył A. Bocsoń, Bóbrka.

Częścią mowy jest pierwsze, o imię uprasza.
Wspak druga żarłoczną rybę ludziom ogłasza.
Całość nakazuje wykonanie czynności
O tyle, o ile leżą one w możności.

Krzyż magiczny.

Ułożył I. W.

Podane litery tak poprzestawiać, aby dały trzy słowa, równobrzmiące tak w pionowym, jak i poziomym kierunku.

			1	2	3		
			a	a	a		
			a	a	a		
1	a	a	c	d	d	e	e
2	k	k	l	l	n	o	o
3	o	o	p	p	p	p	r
			r	r	r		
			w	y	y		

Znaczenie wyrazów: 1. Imię pierwszej kobiety na ziemi według podań greckich. 2. Ulica w Krakowie (tuż obok plant). 3. Kraj, wchodzący w skład krajów korony Św. Szczepana.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza Redakcya do rozlosowania A. Gruszeckiego: »Bojownicy«. Powieść, wydanie trzecie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 32

Szarada głoskowa.
Seledynowy.

Szarada.
Kałamarze.

Szarada.
Alinka (albo Celinka).

Logogryf.
Nowości Ilustrowane.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: E. Misiewicz Wiedeń, Lorber Kimpolung, J. Antosz Kraków, M. Arbesbauer Lwów, A. Broniewski Kraków, J. Witkowska Lwów, Z. Gruszczyńska Kraków, O. Górkowa Chyrów, M. Radlmesser Swoszowice, E. Załulińska Olszanica, J. Grotkowski Kraków, I. Diehl Struj, R. Jaworski Kraków, K. Czaplicki Kraków, Ch. Lewkowicz Podgórze, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Rożański Lipinki, S. Kubacki Piotrków, F. Majewska Kraków, J. Możdżeński Wiedeń, A. Rojek Lwów, B. Leszczyński Borysław, A Kijeńska Łódź, A. Woyde Warszawa, F. Karczewski Kraków, M. Świszczowska Swoszowice, J. Furdzik Jaworzno, K. Wieliński Czortków, K. Grossman Kołomyja, Z. Paradowski Lwów, A. Bocsoń Bóbrka, J. Wielgus Kalwarya, E. Bogdalska Koropuż, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał Z. Paradowski Lwów. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Magnetyzm osobisty i wzmocnienie pamięci.

Uprawianie ich i stosowanie praktyczne w życiu codziennem. Ogłoszenie nieznanych dotąd faktów o znakomitej pamięci i o wpływie osobistym na innych. Zdumiewająca nieumiejętność korzystania z własnej wewnętrznej mocy. Biuro Psychologicznego Wydawnictwa rozpowszechnia bezpłatnie broszury na te tematy.

Pewna dobrze znana firma wzbudza ogólne zaciekawienie nowym i oryginalnym, lecz bardzo kosztownym sposobem reklamy — zupełnie bezpłatnem ofiarowaniem książki. Tę małą, ładnie ilustrowaną książkę, otrzymać może pocztą od Psychologicznego Wydawnictwa każdy, kto tylko się zwróci piśmiennie po nią do powyższej firmy.

Tytuł tej oryginalnej broszury — »Nasza siła wewnętrzna«; na treść jej składają się wysoce ciekawe spostrzeżenia o zarzuconych badaniach naukowych nad kwestją magnetyzmu osobistego czyli przyciągającej mocy charakteru, oraz o wzmocnieniu pamięci.

Broszura ta rozpatruje też i zastosowanie oraz przemiany siły fizycznej w psychiczną.

Zadaniem wydawcy jest obudzić zainteresowanie do popularnych współczesnych dzieł psychologicznych odpowiedzią na następujące i podobne im pytania:

Czy rzeczywiście istnieje droga, dzięki której można zdobyć dobrą pamięć i magnetyzm osobisty? Czy można niezwłocznie się nim posiłkować? Czy rzeczywiście można tym sposobem osiągnąć zadowolenie, szczęście i powodzenie? W jaki sposób została wyjaśniona tajemnica magnetyzmu osobistego? Czy magnetyzm ma jakikolwiek związek z hypnotyzmem i mesmeryzmem, czy też stanowi samodzielne zjawisko duchowe? Czy zmieni on nasze uczucia? Czy istnieje prawo prądów duchowych?

W tej bezpłatnej broszurze poruszane są również pytania o ćwiczeniu pamięci, o sile myśli i innych niezwykle ciekawych przejawach duchowych.

Wskazuje ona najlepszą drogę ku gruntownemu badaniu tych przedmiotów bądź dla osobistego zadowolenia, bądź w celach praktycznych.

Skieruje ona waszą uwagę na nowe i oryginalne metody opanowywania wszystkich moralnych wzruszeń, jako to: nagły strach, przygnębienie, smutek, trema itp.

Czytelnik łatwo zrozumie, że na taką książkę, zwłaszcza bezpłatną, rozjaśniającą tak niezmiernie ciekawe sprawy, popyt wzrastać będzie szybko i stale, a przeto zapasy tej broszury prędko się wyczerpią. Kto pragnie otrzymać egzemplarz broszury »Nasza siła wewnętrzna« niechaj się zwróci pod adresem:

Psychologiczne Wydawnictwo
Warszawa, Wierzbowa 8
Pasaż No 23.

Nazwisko i adres należy pisać wyraźnie.

Najuprzejmiej prosimy o przysłanie siedmiokopiejkowej marki na przesyłkę.

Ponieważ książka ta posiada ogromną wagę dla wielu osób, prosimy z przyczyn zupełnie zrozumiałych, ażeby zwracał się po nią tylko ten, kogo kwestje te interesują szczerze.